



Michel Zévaco
FANFARON

Tom 2



17

ISBN 978-83-65753-64-9 (całość)
ISBN 978-83-65753-66-3 (tom drugi)

Michel Zévaco

FANFARON



Michel Zévaco urodził się 1 lutego 1860 roku w Ajaccio na Korsyce. Swoje chłopięce lata spędził w internacie, w 1878 roku zdał maturę. Następne cztery lata spędził w wojsku, którego szeregi opuścił jako podporucznik dragonów. W lipcu 1886 zamieszkał w Paryżu.

Zafascynowany literaturą i polityką, został dziennikarzem, potem sekretarzem redakcji pisma „L'Égalité”, kierowanym wówczas przez rewolucjonizującego socjalistę, Jules'a Roques. W 1889 roku Zévaco wystartował z Ligi Socjalistów – bez powodzenia – w wyborach parlamentarnych. Z powodu zjadliwości swych wypowiedzi w okresie nasilonych zamachów anarchistycznych został kilkakrotnie skazany na pobyt w więzieniu Sainte-Pelagie, np. za „nawoływanie do zabójstwa” w 1890 roku, a także w 1892 za wypowiedź na zgromadzeniu publicznym w Paryżu: „Burzuje zabijają nas głodem; kradnijmy, zabijajmy, wysadzajmy dynamitem; wszystkie środki są dobre, by uwolnić nas od takiego gnicia”.

W roku 1900 Zévaco porzucił dziennikarstwo polityczne, by poświęcić się pisaniu powieści odcinkowych. W tej nowej roli zadebiutował powieścią *Borgia!*, opublikowaną w „La Petite République Socialiste”. Po sukcesie tego utworu stworzył dla tego samego dziennika cieszącego się popularnością bohatera, Pardaillana.

W 1905 roku związał się z dziennikiem „Le Matin”, dzięki któremu stał się wiodącym pisarzem, stawianym na równi z Gastonem Leroux. W latach 1905-1918 „Le Matin” opublikowało dziewięć powieści odcinkowych, z których Fanfaron i seria o Pardaillanach były namiętnie czytane przez młodego Jean-Paula Sartre'a. Powieści te równolegle wydało Wydawnictwo Fayarda w swojej serii „Książka Popularna”.

Trzeba zaznaczyć, że Zévaco nie porzucił zupełnie dziennikarstwa. Jego nazwisko pojawia się na listach współpracowników literackich dziennika „L'Humanité”.

Podczas I wojny światowej opuścił Pierrefonds, gdzie żył od końca XIX wieku, by zamieszkać w schronisku w Eaubonne w Val-d'Oise, gdzie zmarł na raka 8 sierpnia 1918 roku.

Powieści Michela Zévaco mieszczą się głównie w gatunku literackim „płaszczka i szpada”, a ich fabuła w większości rozgrywa się we Francji w czasie XIV-XIX wieku. Żywa akcja czy ciekawe tło historyczne sprawiły, że utwory Zévaco cieszyły się wielką popularnością nie tylko we Francji, ale także we Włoszech i Rosji. Kilka z nich przeniesiono na ekrany kin.

Do najważniejszych i najlepszych powieści tego pisarza można zaliczyć złożony z dziesięciu tomów cykl Pardaillanowie oraz utwory: *Fanfaron*, *Bohaterka*, *Most wspomnień*, *Kochankowie z Werony*, *Buridan*, *Krwawa królowa*, *Nostradamus*, *Łąka kleryków*, *Piękna Florinda*, *Borgia!*. Większość z nich można łączyć w cykle, powiązanych ze sobą za sprawą postaci głównego bohatera.

Michel Zévaco



FANFARON

Część druga

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

[Kup książkę](#)

Pięćdziesiąta piąta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Osiemnasty i dziewiętnasty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuły oryginału angielskiego: *Le Capitan*

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2018

45 ilustracji, w tym 12 kolorowych: Jolanta Ogaza

© Copyright for the cover and inside illustrations by Jolanta Ogaza, 2018

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Kinga Ochojska

Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2018

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-65753-64-9 (całość)

ISBN 978-83-65753-66-3 (tom drugi)

Rozdział XXXIV

Powodzenie Capestanga

W ten sposób książę Kondeusz został zaaresztowany w Luwrze, gdzie, jak przypuszczał przed kilku godzinami, miał wejść niczym wszechwładny pan. Vitry oddał go w ręce markiza de Thémínes, który z oddziałem dwudziestu żołnierzy czekał w przedpokoju na koniec wydarzeń. Thémínes, przeprowadził księcia pod eskortą, wsadził go do zamkniętego powozu, a pół godziny później Henryk II de Bourbon, czyli książę Kondeusz, był już tylko numerem 14 w wieży Trésor w Bastylii.

Vitry wyszedł, rzuciwszy dziwaczne spojrzenie na Capestanga.

Na znak dany przez Ludwika XIII wyszedł także Luynes, popatrzywszy z ukosa na młodego rycerza.

W tych dwóch spojrzeniach Capestang mógł wyczytać całą zawiść, jaką wzbudził w tych ludziach. Stary marszałek Ornano, wychodząc jako ostatni z gabinetu króla, szepnął mu do ucha:

– Młodzieńcze, jeżeli nie wyjdiesz jako wielki ulubieniec monarchy, radzę ci, byś uciekał z Paryża co koń wyskoczy i postarał się, by stumilowa przestrzeń dzieliła twą pierś od ostrzących się na ciebie sztyletów.

Następnie, zwracając się do króla, rzekł dość szorstkim głosem:

– Najjaśniejszy Panie, to nie Kondeusza należało aresztować...

– Ho, ho! A więc kogo? Powiedz, stary przyjacielu, kogo należało zatrzymać...? Gwizjusza, he...?

– Nie, Sire. Concino Concinię! – oświadczył chłodno marszałek, składając ukłon, a potem odszedł powoli, jakby oczekiwał na jakiś okrzyk, jakiś rozkaz...

Ale król milczał. Marszałek oddalił się, wzruszając ramionami.

Po raz drugi Ludwik XIII i Capestang byli sam na sam, ale tym razem to awanturnik miał posępne oblicze, a król promieniał radością.

Dźwięczały mu jeszcze w uszach te słowa wykrzyczane twardym głosem, które samego go zadziwiły: „Kapitanie, aresztuj księcia”.

Jego pierwszy czyn królewski! Jego pierwszy gest potęgi!

Umiął więc rozkazywać. I słuchano jego rozkazów! Wystarczył dźwięk jego głosu, by książę krwi został schwytany i wrzucony do lochu! Na jedno skinienie monarchy przycichły w Paryżu wrzenia i rozruchy podobne do wzburzonego morza, którego bałwany uspakajały się na znak dany przez Neptuna! Został usunięty zuchwały spiskowiec, pozostał tylko więzień stanu! Ustało zamieszanie w mieście, panowała cisza trwogi...! Co znaczyła ta potęga, której teraz popróbował? Czym była owa tajemnicza siła, gromadząca się przez wieki, czyniąca z niego, nieśmiałego dziecka, wszechwładnego pana, przed którym drżeli najmożniejsi? Czy monarchia istotnie była najwyższą władzą? Czy król naprawdę był wysłannikiem Boga, trzymającym w wątpliwych dłoniach pioruny, którymi jedynie Stwórca umie władać...?

Takie myśli snuły się po głowie piętnastoletniego młodzieńca i napępniały go dumą. Podobny był do dzieci, którym dają mechaniczną zabawkę i które dziwią się jej działaniu, gdy naciskają sprężynę. Zachwycą ich rezultat, ale nie rozumieją mechanizmu. Jakim sposobem naciśnięcie małym paluszkiem mogło wprowadzić w ruch taką maszynkę? Jakaż siła była

w tym palcu...! Tylko później, kiedy dziecko rozbije zabawkę, by zobaczyć jej mechanizm, wówczas zdarza się niekiedy, że sprężyna, odskakując, rani je boleśnie lub nawet zabija...!

W tym momencie Ludwik XIII spoglądał na Capestanga z tą samą wdzięcznością i zachwytem dziecka obdarowującego nią tego, który przyniósł mu zabawkę...

Te porównania zastosowane do owych wydarzeń i owych osób wydają się niestosowne. Rzeczywiście człowiek nie chce, by osłabiano znaczenie kierującej nim władzy... Łudzimy się, że działalność wszelkiego rodzaju rządzących jest jakby uświęcona, że należy mówić o niej z uszanowaniem. Nie tylko bawią się królowie, i lud szuka rozrywki, a tę rozrywkę znajduje, patrząc na zabawy wybrańców losu. Ale dość tej gadaniny, powróćmy do naszej historii, która staje się coraz bardziej interesująca, czyli historii fortuny naszego bohatera.

– Przede wszystkim – rzekł król – opowiedz mi o tym oddziale pięćdziesięciu gwardzistów, który mój kuzyn Kondeusz uzbroił, jak nam doniósł o tym wczoraj wieczorem pan de Luçon.

– Wolę, Najjaśniejszy Panie – odparł Capestang – opowiedzieć cały przebieg wypadków od chwili, gdy na ulicy Vaugirard spotkałem Cogolina.

– Cogolina...? Kim jest Cogolin?

– To mój giermek, Sire, wynalazca cudownej maści, od której łysym wyrastają włosy na głowie.

– Ho, ho! – zadziwił się Ludwik XIII. – Jaka jest korzyść z posiadania włosów na głowie, skoro natura z czasem je nam zabierze?

– Jak to, Sire! – odparł z głębokim przekonaniem Adhemar. – Ależ obfite owłosienie jest oznaką siły. Proszę spojrzeć na Samsona... przed spotkaniem z Dalilą¹!

– Zgadza się...! – wykrzyknął król z taką samą szczerością.

– I które odzyskał, gdy go topiono!

– Słuszna uwaga! – potwierdził Ludwik uderzony taką zdolnością rozumowania, która była bardzo poprawna w tej epoce, gdzie tysiące wierzeń, tysiące różnych zabobonów nawiedzały ludzkie mózgi. – No cóż, kawalerze, podałeś mi wspaniałą myśl. Począwszy od dzisiaj, zapuszczam włosy tak długo, aż sięgną mi do ramion. Mów dalej, kawalerze, słucham cię.

Rzeczywiście, król Ludwik XIII zrobił, jak mówił. Dotychczas, jak jego ojciec, nosił krótkie włosy, a później bardzo długie z wdziękiem spadające w puklach na ramiona. Naturalnie dwór gorliwie poszedł za tym przykładem, a wkrótce nadeszły takie czasy, kiedy możnowładca okrywał się niesławą, jeśli nosił krótkie włosy. Później olbrzymie peruki z czasów Ludwika XIV były dalszą ewolucją tej mody... Zatem Cogolin był nieświadomą przyczyną rewolucji w sztuce układania fryzur.

– A więc oto cała historia od początku – zaczął Capestang. – Działo się to, Sire, w nędznej oberży przy ulicy Vaugirard, która wskutek dziwnego zbiegu okoliczności ma, a raczej miała na szyldzie wizerunek twego znakomitego ojca, Henryka IV Wielkiego...

– Czekaj, rycerzu! – przerwał nagle Ludwik XIII, uderzając trzykrotnie młotkiem w dzwonek. – Może lepiej będzie się nam gawędziło i słuchało opowieści przy zastawionym stole.

Król już od dłuższej chwili namyslał się, jaki dać dowód przyjaźni młodemu człowiekowi, którego upokorzył niegdyś, przezywając go Fanfaronem, i który teraz jeszcze stał przed nim zaszepiony, jakby chował do niego urazę. Dany przez monarchę sygnał był zapewne zwykłym rozkazem, lecz tego wieczora został spełniony z niezwykłą okazałością. Istotnie, po kilku minutach skrzydła drzwi otworzyły się na oścież i przestraszony Capestang zobaczył oficera w galowym mundurze, ze szpadą w ręku, który oznajmił:

¹ Samson – w Biblii wojownik izraelski walczący z Filistynami, obdarzony nadludzką siłą, związaną z jego niestrzyżonymi włosami; gdy przez zdradę Dalili zostały one ścięte, mężczyzna stracił całą swą moc.

– Posiłek Jego Królewskiej Mości!

Za oficerem weszło czterech halabardników, następnie czterech kamerdynerów niosących stół, a kolejni czterej żołnierze z halabardami zamykali pochód. Kamerdynerzy ustawili stół na środku gabinetu, halabardnicy stanęli wzdłuż ścian, gdzie znieruchomieli, podobni do kariatyd². Na stole nakrytym olśniewającym obrusem połyskiwały srebrne sztucce, złote czary, sześcioramienne świeczniki, kryształowe flakony napełnione rubinowym winem burgundzkim, stały przeróżne półmiski ze srebrnymi pokrywami.



² *Kariatyda* – posąg kobiety stanowiący podporę architektoniczną (zamiast kolumny), dźwigający na głowie belkowanie, balkon i tym podobne elementy architektoniczne; kariatydy stosowane były w greckiej architekturze starożytnej, zwłaszcza w budowlach stylu jońskiego.

Capestanga zdumiewał taki przepych i mimowolnie przypomniał sobie odwróconą dnem do góry skrzynię, na której w głębi strychu Cogolin położył mu jedną z tych soczystych szynek, podwajających apetyt i potrających pragnienie. Ponieważ jednak był bardzo głodny, rzucił pożądlivym okiem na wspaniały stół, wciągnął nosem ponętną woń, wydzielającą się z potraw, westchnął i pomyślał:

„Piękna to rzecz, taka władza królewska! Gdybym był królem, mógłbym zasiąść za tym stołem i pokosztować trochę tych potraw, które muszą być królewskie, skoro je podają w srebrnych naczyniach. Ale jestem tylko kawalerem de Capestang... Ba! Popatrzę tylko na jedzącego króla, co podobno jest wielkim zaszczytem, ale też doda mi apetytu”.

Jeśli Capestang był zdziwiony, to był jeszcze ktoś bardziej zdziwiony niż on, a tym kimś był król! Dotychczas, gdy żądał obiadu lub wieszery, prowadzono go do sali jadalnej, gdzie siadał za stołem dość niedbale zastawionym.

Ludwik XIII przez chwilę pozostawał zamyślony na widok takiej czci, do której nie był przyzwyczajony.

„Dlaczego tutaj przyniesiono mi posiłek – zapytywał sam siebie. – Dlaczego z takim ceremoniałem?”

– Najjaśniejszy Panie – rozległ się nagle jedwabisty i słodki głos, jakby odpowiadający na myśli króla – będąc zarządzającym pałacem, dałem rozkaz, by tu przyniesiono wieczrę Waszej Królewskiej Mości. Jeśli chodzi o ceremoniał, to taki zawsze był stosowany przy wielkich monarchach. Najwyższy czas, Sire, byś zaczął korzystać z przywilejów należnych królewskiemu majestatowi, skoro dzisiaj wieczorem wzięłeś na siebie straszliwą odpowiedzialność królewskiej sprawiedliwości!

Ludwik XIII zobaczył kłaniającego się mu tego, którego Ornano radził mu aresztować: Concino Concinięgo!

Dreszcz oburzenia i gniewu wstrząsnął Capestangiem. Instynktownie schwycił za rękę – jeść szpady, lecz marszałek d'Ancre, udając, że go nie widzi, wyszedł schylony kornie, jakby chciał bić niskie pokłony.

Ludwik XIII gestem nakazał odejść halabardnikom i lokajom.

– Najjaśniejszy Panie – zauważył nieśmiało starszy kamerdyner – ktoś w takim razie usłuży Waszej Królewskiej Mości?

– Ba, mój panie! – odparł król. – Zrobię, jak zrobił mój ojciec w dzień bitwy pod Arques³, sam siebie obsłużyć! Siadaj naprzeciwko mnie, panie rycerzu, i zabierzmy się do wieszery... Musisz być nie mniej głodny ode mnie.

Po całym Luwrze natychmiast rozeszła się wiadomość, że król posadził za stołem młodego kawalera de Capestang, i od tego czasu niejeden szlachcic czekał na wyjście nowego ulubieńca, by zaprosić go do swego pałacu.

Concini przeszedł szybkim krokiem kilka sal. Był całkiem siny i tak jak w napadach wściekłości, piana występowała mu na usta.

– Nędzny junaku! Intrygancie! Nicponiu! Fanfaronie! Biesiaduj sobie teraz przy stole króla, ale tej nocy będziesz biesiadował przy stole diabła! – złorzeczył.

Na podeście głównych schodów zastał Rinalda, który na niego czekał.

– Wszystko gotowe? – zapytał Concini?

³ *Bitwa pod Arques* – bitwa w dniach 15-18 września 1589 roku między wojskami królewskimi Henryka IV a siłami Ligi Katolickiej dowodzonymi przez Karola Lotaryńskiego, księcia de Mayenne, podczas ostatniej, ósmej wojny religijnej, zakończona zwycięstwem Henryka IV; Arques leży sześć kilometrów na zachód od Dieppe.

– Sam osądź, Ekscelencjo. Montreval i Bazorges znajdują się w przedpokoju, Louvignac na dole schodów, Pontraille na dziedzińcu, a ja tutaj pilnuję jednocześnie schodów i przedpokoju. Przy bramie pałacu stoi Chalabre z dwudziestoma zuchami, z których każdy kilkakrotnie dawał dowody zręczności we władaniu sztyletem. Tym razem złapiemy drania i nie zdoła nam ujsć.

Concini ruchem głowy zaaprobował taką formę zasadzki, która wydawała się przygotowana jak na jakiegoś bajecznego olbrzyma.

Tymczasem ten, któremu groziły czynione przygotowania, ten, dla pokonania którego Concini uważał za potrzebne zebranie trzydziestu morderców, w owej chwili składał spokojnie, błady z dumy, ukłon przed Ludwikiem XIII.

– Jak to, Najjaśniejszy Panie?! Mam usiąść przy stole razem z Waszą Królewską Mością?

Był to zaszczyt, którym Ludwik XIII dotychczas nikogo nie wyróżnił i którego nie należało zmarnować. Biedny kawaler, któremu pan de Tremazenc, jego ojciec, opowiadał, że pewnego razu dostał się zaszczytu popatrzenia na posiłek króla, sądził, że śni na jawie, śni o fortunie i chwale. Usiadł wreszcie na krześle, wskazanym mu przez Ludwika, wyprostował się dumnie, jakby podbił cały świat, i mniemając, że najlepszym podziękowaniem dla gospodarza będzie okazanie się dobrym gościem, zabrał się ostro do jedzenia.

Ludwik milczał, słuchał i zaledwie skubał jedzenie, mając chory umysł mimo Hérourada, a może z powodu Hérourada.

Co do Capestanga, z łapczywością gryzł kawał pieczeni z sarny, a jednocześnie rozpoczął za pomocą obrazowych słów pełne werwy opowiadanie, którego król słuchał z wielkim zainteresowaniem.

Młody rycerz mówił za dwóch, jadł za trzech, a pił za czterech.

Kiedy wieczera dobiegła końca, kiedy Capestang dokończył opowiadać bohaterski epizod, jakby zapożyczony od starych truwerów, król długo przypatrywał się awanturnikowi, który ostatnimi gestami ilustrował swoje opowiadanie.

– To wspaniałe! – wykrzyknął w końcu. – Ta twoja wędrówka po Paryżu z Kondeuszem pod ramię! To nazwisko księcia rzucone mieszczanom na Pont-Neuf! Ten podwójny pojedynek stoczony w oberży! I powiadasz, że nie poznałeś żadnego ze szlachciców, którzy mieli przywdziać mundury gwardzistów?

– Nie, Sire, żadnego! – odparł Capestang.

– Wielka szkoda...! Ale co jeszcze piękniejsze, to schowanie tych mundurów do piwnicy. Fakt godny uwiecznienia wraz z historią o kubelkach z farbą!

– Nieprawdaż, Najjaśniejszy Panie, że dobrze było pomyślane? – zauważył naiwnie rycerz.

– Jeszcze długo będę się śmiał, gdy sobie wspomnę miny zawiedzionych pięćdziesięciu szlachciców!

– A ja, Sire, już się śmieję! – stwierdził Capestang, wybuchając śmiechem, a po chwili dodał: – Pomyślałem, że Wasza Królewska Mość zechce wziąć te pięćdziesiąt mundurów dla swoich gwardzistów. To byłoby ekonomiczne!

– Kupię je od ciebie! – oświadczył Ludwik XIII, a widząc zdziwienie kawalera, dodał: – Bezsprzecznie te mundury należą do ciebie. Stanowią zdobycz wojenną, z zatem zamierzam je odkupić.

Capestang namyślał się chwilę, po czym odpowiedział:

– Zgoda, Najjaśniejszy Panie, sprzedam te mundury, a raczej je z tobą wymienię...

– Na co chcesz je wymienić? – pytał król z uśmiechem.

– Tylko na jeden uniform! – odparł Capestang z powagą.

„Ho, ho! Będzie mnie prosił o jakieś stanowisko. Do licha, dostanie je!” – pomyślał król, a głośno dodał: – Jakiż mundur chcesz otrzymać za swoje pięćdziesiąt, które mi sprzedajesz?

– Mundur księcia Kondeusza – odparł Capestang, a król zmarszczył brwi. – Ponieważ jednak ofiaruję ci, Sire, pięćdziesiąt za jeden, będzie sprawiedliwie i słusznie, że razem z mundurem dasz mi także księcia. – Ludwik XIII zerwał się z krzesła, Capestang uczynił to samo. – Widzę, miłośnicy królu, że się wahasz, że się zastanawiasz nad moją prośbą. Ja nie wymagam przecież wiele.

– Do cholery, żądasz księcia...!

– Człowieka, Najjaśniejszy Panie! – stwierdził Capestang, prostując się. – Człowieka jak ja.

– Co chcesz z nim robić?! – wykrzyknął Ludwik zirytowany, przestraszony, zdumiony tym niezwykłym handlem.

– Zwrócić mu wolność, Najjaśniejszy Panie!

– Nigdy! – huknął król, którego błada twarz oblała się rumieńcem. – Dziś wieczorem nabyłeś prawa do mojej wdzięczności, lecz tego prawa nadużywasz, a twoja prośba budzi we mnie dziwaczne podejrzenie...

Podejrzenie...! Ludwik XIII wymówił to znaczące słowo, mające zdominować jego myśli. Całe jego życie było łańcuchem podejrzeń. On sam był żyjącą podejrzliwością.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł Capestang z prostotą stanowiącą dziwną sprzeczność z jego zwykłą fanfaronską egzaltacją. – Jest dla mnie coś gorszego niż być podejrzanym. Raczyleś mnie nazwać Rycerzem króla, a ja, nieszczęśliwy, spadłem do roli agenta policji. Kiedy aresztowałem księcia i rozkazałem mu przyjść do Luwru i zdać się na twoją łaskę, on poszedł za mną dobrowolnie, bowiem powiedziałem mu: „Niczego się nie obawiaj, ręczę za twoje bezpieczeństwo...!”. Kondeusz jest w Bastylii, więc ja złamałem dane słowo honoru! Miłośnicy Królu, oddaj mi mojego więźnia, inaczej przysięgam ci, że zburzę Bastylię, by go stamtąd wyprowadzić!

W jednej chwili po wymówieniu przez Ludwika XIII słowa „podejrzenie” niebo nad głową rycerza pokryło się chmurami zapowiadającymi burzę. Po kilku chwilach on sam, zapominając o prostocie postępowania, jaką sobie nakazał, przeszedł od powątpiewania do gniewu, ze wściekłości do egzaltacji, znowu przybrał wyniosłą postawę, gesty stały się płomienne, twarz dumna i wzburzona, a słowa cierpkie i chłoszczące, gdy na końcu wykrzykiwał to zdanie napędlone ogromną chęlnością:

– Zburzę Bastylię, by go stamtąd wyprowadzić!

Ludwik XIII wzruszył ramionami, wybuchnął cierpkim śmiechem i... drugi raz powiedział:

– Fanfaron...!

I tym razem Capestang zachwiał się, jakby ugodzony sztyletem! Ustąpiła jego egzaltacja, opadły złamane skrzydła! Zobaczył, że stał się przedmiotem szyderstwa, on, który przypuszczał, że będzie wzbudzać dreszcz trwogi!

Biedny rycerz! Był po prostu niezrównanie naiwny. Widząc go tak zgnębnym, młody monarcha postanowił powiększyć swoje zwycięstwo i dodał złośliwym tonem:

– Bastylia! Miej się na baczności, byś sam nie został w niej zamknięty!

Było to uderzenie szpicruty rozjuszające lwa zamkniętego w klatkę. Capestang krokiem szybkim dążył za królem idącym do drzwi, jakby dla wydania jakiegoś rozkazu; młody rycerz pochylił się, ukazując w ten sposób, jak małą istotną był jeszcze Ludwik, i zawołał:

– Ja w Bastylii...! Odważ się to uczynić, Najjaśniejszy Panie...! Dobrze! Jeśli sobie życzysz, otworzę te drzwi i krzyknę: „Panowie, który z was zechce poprowadzić do Bastylii więźnia, który dziś wieczorem uratował monarchię i króla Ludwika XIII...?!”

Król cofnął się... drżał z tłumionej wściekłości...

Capestang dokończył:

– Otwieram te drzwi, Najjaśniejszy Panie. Przejdę przez twoje przedpokoje bez pośpiechu. Odchodzę. Nie zrobię ani jednego kroku szybciej. Jesteś panem, każ mnie aresztować...!

Jednocześnie otworzył drzwi i z dumnie podniesioną głową, ze wzrokiem ciskającym błyskawice, drżącymi wargami, z dłonią przy biodrze, krokiem równym, powolnym, ciężkim i beczelnym szedł przez tłum dworzan, którzy rozstępowali się przed nim, uśmiechali się, kłaniali nisko nowemu ulubieńcowi króla, w ten sposób oddając hołd powodzeniu Capestanga...!

Drzwi gabinetu monarchy pozostały otwarte na oścież. Ludwik XIII zrobił jeden krok ku nim, by wydać rozkaz... Głos uwiązał mu w gardle... Oburącz targał na szyi koronkową kryżę⁴, jakby dusił go ten niewielki ciężar... Cofnął się, siny, z wytrzeszczonymi oczyma i padł na fotel.

W tej chwili w obramowaniu drzwi ukazała się biała, konwulsyjnie wykrzywiona twarz...

Concini, który widział przechodzącego Capestanga, który przewąchiwał jakieś poważne wydarzenie, Concini, który usłyszał wzburzone głosy, rzucił na Ludwika XIII badawcze spojrzenie.

– Niech nas Bóg ma w swej opiece! – zawołał. – Król mdleje...!

Rzucił się ku monarsze, a w tym czasie w przedpokojach wybuchnęła wrzawa. W dwóch susach znalazł się przy królu, który w tej właśnie chwili otwierał oczy.

– Hérouard! – ryknął marszałek. – Wołać Hérouarda...! Najjaśniejszy Panie! Najjaśniejszy Panie! Co ci jest...? Co tu się stało...?

– Ten człowiek... – szepnął król.

– Capestang...! – krzyknął Concini głosem wypełnionym straszną radością.

– Znieważył mnie... niech go zaaresztują...!

– On znieważył króla...! Zobaczysz, Sire, do czego jest zdolny marszałek d’Ancres, kiedy obraża się jego monarchę!

– Aresztuj go i przyprowadź do mnie – szepnął Ludwik XIII – ale nie zrób mu nic złego! Concini był już za drzwiami.

Podczas gdy wzmagał się szmer gadających dworzan, skwapliwych okazywać swój ból, gdy Hérouard przygotowywał lancet, by puścić krew królowi, ten rozmyślał:

„Czyżby królowa miała rację? Czyżby Concini był moim najwierniejszym sługą...?”

Słyszając rozkaz króla: „zaaresztuj go i przyprowadź do mnie”, ze dwudziestu dworzan wydobyło szpady i popędziło za Concinim, lecz on zatrzymał ich wściekłym gestem.

„Ci głupcy gotowi są przyprowadzić Capestanga do króla, który chce mi tylko przebaczyć” – myślał marszałek, a głośno dodał: – Panowie, szpady do pochew, proszę! Niech nikt się nie rusza! Ta sprawa tylko mnie dotyczy, mnie samego! Nikomu nie przysługuje prawo ukarania napastnika znieważającego majestat królewski...

⁴ Kryza – okrągły kołnierz marszczony lub fałdowany, noszony w XVI i XVII wieku.

Wybiegł spiesznie, zostawiając dworzan zdumionych jego odwagą i poświęceniem. Na dziedzińcu czekał na niego Rinaldo.

– Co słyszeć? – Sapnął Concini.

– Właśnie przechodzi zwodzony most – odparł zbir. – Nasi ludzie śledzą go i nie tracą z oczu. Czy zagrać halali⁵, Ekscelencjo?

– Jeszcze nie. Pozwól mi działać. W drogę...! – A pochyliwszy się ku Rinaldo, dorzucił ze złowrogim spokojem... – Za wszelką cenę muszę go mieć żywego...!



⁵ *Halali* – zawołanie i fanfara oznajmiające miejsce, gdzie zwierzyna została osaczona przez psy podczas polowania; halali kończyło polowanie.

Rozdział XXXV

Walka Henryka Wielkiego

Biła druga po północy, gdy Capestang wychodził z Luwru. Szedł wśród ciemnej nocy przyspieszonym krokiem, czasami zataczając się jak człowiek pijany, to znowu przystając i bijąc się ręką w czoło, lub z wyciągniętą z pochwy szpadą przyjmując szermierczą postawę, by potem zadać ciosy urojonemu przeciwnikowi. Gdzie szedł? Sam nie wiedział, gdzie idzie, nie podążał za instynktem. Mruczał coś bez ładu. Z najeżonymi włosami, z czołem oblanym potem mógł budzić wstręt i trwogę. Naraz zderzył się z jakimś człowiekiem, który krzyknął:

– Sakiewka albo życie...!

Capestang z wściekłością wyszarpnął z kieszeni sakiewkę pełną złota i rzucił ją z taką furją w głowę złodzieja, że ten padł półżywy.

– Masz swoją sakiewkę! – krzyknął Capestang. – Masz! Bierz! Zalej się! Napchaj się! A jeśli chodzi o moje pieskie życie, to będę cię błogosławił, jeśli także mi je odbierzesz!

– Dziękuję Wasza Wielmożność! – mruknął rabuś, który przez lata musiał pozostawać zdziwiony tą niezwykłą przygodą i królewską jałmużną, którą nieznajomy prawie go zabił – i moralnie, i fizycznie.

Nieco ulżywszy umysłowi, a całkowicie kieszeni, Capestang szedł dalej, mrucząc:

– Co mi teraz po pistoletach?! Och, potrójny głupcze! Och, bałwanie! Och, nicponiu!

Pochlebne te epitety kierował do samego siebie, a nie do króla czy też do złodzieja, jak by można przypuszczać. Był wściekły, doprowadzony do szewskiej pasji, ale przez samego siebie i swoją postawę.

– Należało zostawić swobodny bieg wypadkom! – kontynuował. – Trzymałem za nogi fortunę! Miałem szczęście przyprowadzić do Luwru pretendenta do tronu, którego popierał cały Paryż! Moja szczęśliwa gwiazda chciała, żebym przyprowadził za rogi byka, który chciał wszystko przewrócić! Los zrobił ze mnie wybawiciela monarchii...! Miałem tylko milczeć! Och, nędzny gaduło, czemu nie skułeś przekłętę języka! Och, nieszczęsny fanfaronie, wystarczyło, byś swoimi ramionami nie kręcił błazeńskiego młynka, a jutro byłbyś pierwszą osobą w królestwie! Mógłbyś stanąć przed ojcem Giselli i rzec mu śmiało: „Pańska córka mnie kocha i ja ją kocham; teraz, kiedy jestem znamienitą osobistością, odbierz ją Cinq-Marsowi, który jest jedynie nic nieznaczącym, małym markizem, i oddaj ją mnie...!”

Mówiąc te słowa, drgnął, gdyż spostrzegł, że znalazł się na ulicy des Barrés przed domem Marii Touchet! Przed domem Giselli!

Skierował się tam instynktownie, nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie idzie... Drżał, a z jego ust posypały się nowe przekleństwa. Następnie ze smutnie zwieszoną głową usiadł na progu.

„Po co tu przyszedłem? – rozmyślał. – Czy Gisella nie jest już małżonką Cinq-Marsa? Czy ślub nie miał się odbyć o północy? Wprawdzie powiedziała mi, że mnie kocha, że z Cinq-Marsem będzie dzielić tylko nazwisko. Czeka zapewne, bym spełnił daną obietnicę, zdobył ją dokonaniem świetnych czynów...! A gdzie ja teraz jestem? Czy mogę mieć jakąś nadzieję, skoro nie umiem skorzystać z losu, który ofiarowuje mi fortunę?!”

Nie, nie mógł mieć żadnej nadziei. Nawet sam król był jego nieprzyjacielem!

– Ale jakie wściekle bydlę ugryzło mnie w dnu, w którym przyszedłem na świat! – biadał, rwąc sobie z rozpaczny włosy z głowy. – Już nie wiem, któremu z herosów z ksiąg mojej pani matki wystarczyło posiać do ziemi smocze zęby, by z ziemi wyrósł plon w postaci zbrojnych mężczyzn⁶! Mnie wystarczy jedynie gdzieś pójść, coś powiedzieć, nawet ukazać się, a wokół mnie wyrastają wrogowie silni jak jęczmień w sierpniu!

Wstał i cofnąwszy się parę kroków, z niewypowiedzianym smutkiem spojrzął na fasadę domu, zaledwie widoczną w ciemnościach. Budynek stał milczący, mroczny...

Następnie ruszył dalej przed siebie. Po co tu przyszedł? Czy chciał tylko zobaczyć dom czy miał nadzieję zobaczyć gdzieś Gisellę, czy wreszcie odnaleźć na tej ulicy trochę odwagi – tego zupełnie nie wiedział. Biedny awanturnik był kompletnie zdezorientowany...

Błądził tak kilka godzin, skręcał w prawo, w lewo, zawracał, odwracał się, znowu szedł naprzód, na łut szczęścia, jak prawdziwy zabłąkany, nieszczęsny wrak.

Czuł się tak bardzo nieszczęśliwy, że przyszła mu myśl, albo raczej dojrzała w nim, by odebrać sobie życie.

„Przecież – myślał – tylko o kilka dni przyspieszę chwilę zobaczenia, co się dzieje *ad patres*⁷, i uniknę zgładzenia przez jednego z mych licznych nieprzyjaciół, którzy być może w tej chwili na mnie czatują...!”

Nie domyślał się, jak bliski był prawdy, ponieważ Montreval i Louvignac podążali za nim krok w krok i byli zdecydowani iść za nim, aż gdzieś się zatrzyma, obojętnie w jakim miejscu; po czym Montreval miał stanąć na straży, a Louvignac poszedłby sprowadzić towarzyszy przebywających w pałacu marszałka d'Ancre.

Dla Capestanga cała kwestia ograniczała się więc do wyboru rodzaju śmierci, który by mu odpowiadał. Zrobił więc krótki ich przegląd.

„Powiesić się? – rozmyślał. – Faj! Język wyciągnięty, na łokieć długi, a przy tym to koniec niegodny szlachcica. Przebić się szpadą? Już trochę przyzwoiciej wygląda, ale czy w tym celu kupiłem tę piękną szpadę...? Rzucić się w nurty Sekwany? Mam wstręt do wody...! Mam myśl. Każę otworzyć jeden z szynków i utopię się w winie, skoro woda wzbudza we mnie obrzydzenie... Tak, ale nie mam już pieniędzy, gdyż moją sakiewką prawie zabiłem złodzieja. Jeszcze jedno głupstwo, jakie zrobiłem, a wszystkich nie zdołałbym policzyć...! Och! – dodał, znowu popadając w rodzaj zwykłego u niego uniesienia, co kończyło się gwałtowną gestykulacją. – Marzę o śmierci zadziwiającej, bajecznej, która by ze mnie zrobiła bohatera, którym nigdy nie zdołałem być za życia! Och, gdybym mógł jak Empedokles⁸ rzucić się do krateru Etny, by tam poszukać śmierci...! Niestety, w Paryżu nie ma Etny... Oto cały mój pech...! Ach, nareszcie znalazłem!

Zatrzymał się, sapiąc, rozpalony męstwem.

– To, co powiedziałem królowi, zrobię! Z mojej winy szlachcic wysokiego rodu dostał się do Bastylii! Ja go stamtąd spróbuję wydostać, a ponieważ w olbrzymim pojedynku między mną a Bastylią, to Bastylia mnie zniszczy, znajduję to, czego szukam, to jest śmierć za-

⁶ Chodzi o Jazona, w mitologii greckiej wodza wyprawy Argonautów, którego Ajetes, król Kolchidy, poddał próbie: najpierw miał zaprząć do pług zięjące ogniem byki, z ich pomocą zaorać pole, w bruzdy posiać zęby smoka i pokonać uzbrojonych wojowników, którzy z nich wyrosną; udało mu się dzięki pomocy Medei, córki Ajetes, czarodziejki, późniejszej żony Jazona.

⁷ *Ad patres* (łac.) – do ojców; na tamten świat; na łono Abrahama.

⁸ *Empedokles* z Akragas (Agrigentum) (ok. 483-ok. 423 roku p.n.e.) – grecki filozof, badacz przyrody, lekarz, poeta, mówca, działacz polityczny; według słów Horacego rzucił się do zięjącego ogniem krateru Etny, ponieważ chciał stać się bogiem.

szczytną, i odzyskam to, co straciłem, przyjmując na siebie rolę zbira, to znaczy odzyskam honor! Tym razem jest to dobra myśl, to jest dla mnie szczęście!

Te dwa słowa: pech i szczęście, które wymówił, wywołały naturalne skojarzenie. Ruszył dalej pewnym krokiem, szepcząc do siebie:

– Gdzie jest Cogolin? Gdzie jest ten nudziarz! Nigdy go nie ma, gdy go potrzebuję...! Zapewne czeka na mnie na strychu oberży „Pod Henrykiem Wielkim”. Idę tam.

Piąta rano wydzwoniła na wieży klasztoru karmelitów, którego pęknięty dzwon cienkim głosem wzywał zakonników na modlitwę, kiedy po strasznej nocy młody rycerz wchodził do opuszczonej oberży, znużony, lecz pełen odwagi, gotowy do zrealizowania swojego zamiaru.

– Cogolin! – krzyczał. – Leć po konie do zajazdu „Pod Dobrą Nadzieją”, a ponieważ musiało ci zostać trochę pieniędzy, daj mi je. Cogolin, gdzie jesteś, hultaju! Pozwalasz mi tak wrzeszczeć? Cogolin...!

Cogolina nie było w oberży. Przekonawszy się o tym, Capestang usiadł, a raczej padł na kupkę siana od kilku dni służącą mu za łóżce.

Był zmęczony, czuł, że ogarnia go sen. Przez jakiś czas, a trwało to bez wątpienia dość długo, tysiące różnych myśli przebiegało mu przez głowę z tą dziwaczną szybkością, jakiej nabiera bieg wyobraźni niekontrolowanej rozsądkiem. Wtedy czasami przemieszcza się jak pędząca kłacz, czasami unosi się jak Pegaz, wdrapuje się na Parnas, albo jak płomień nadprzyrodzonej istoty rzuca się na obszary, które nawiedzają chimery... Obraz Giselli i króla, następnie Cinq-Marsa i Conciniego, potem sto innych pojawiało się kolejno w myślach młodego rycerza.

Wtem na strych wślizgnął się promień słońca i padł na jego oczy. Kawaler rzucił przekleństwo i uniósł powieki. Jego spojrzenie, przedzierając się przez ciężkie powieki, skierowało się na okienko w poddaszu. Capestang zadrżał.

Przez jedną chwilę w lukarni ukazała się jakaś głowa. W tej samej sekundzie rozpoznał ją. „Rinaldo!” – warknął w myślach.

Capestang poderwał się i jednym susem przyskoczył do lukarny, lecz głowa zniknęła.

Jak sobie Czytelnik przypomina, a przynajmniej ci Czytelnicy, których obowiązkiem jest to sobie przypomnieć, na strychu znajdowały się dwa okienka: jedno wychodzące na podwórze, do którego prowadziły drewniane schody z zewnątrz obsługujące piętra, i drugie, z widokiem na ulicę, powyżej którego zamocowana była ręczna winda, służąca mistrzowi Lureau do wciągania siana i słomy.

Właśnie w tej ostatniej lukarni ukazała się głowa Rinalda.

Capestang, wychyliwszy się, ujrzał, jak mężczyzna schodzi po ustawionej przy murze drabinie. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na ulicę, zobaczył, że oberża była obstawiona przez dwudziestu ludzi. Z lewej i prawej strony zatrzymywali się przechodnie i ciekawie przypatrywali się, co się dalej wydarzy. W otwartej tylnej bramie roztawionych było sześciu ludzi.

– Do pioruna! – zawołał rozdrażniony Capestang. – Jest prawie tak jak przy oblężeniu Cahors⁹, o którym ze sto razy opowiadał mi mój pan ojciec.

⁹ Cahors – miasto w południowej Francji, w XVII wieku ośrodek katolicyzmu; podczas siódmej wojny religijnej w roku 1580 było oblegane przez wojska Henryka IV i zostało zdobyte, barykada po barykadzie, po zaciętych walkach trwających trzy dni i trzy noce.

Natychmiast pobiegł do drugiego okienka, rzucił okiem na podwórze i dostrzegł tam z dziesięciu ludzi. Prawie wszystkich rozpoznał. Byli to siepacze, przyboczni marszałka d'Ancre, a wśród nich sam Concini...!

Capestang ogarnął cały strych tym spojrzeniem o straszliwej przenikliwości, jakie posiadają odważni ludzie w chwilach największego niebezpieczeństwa, szukając dziury, otworu, wylamania w dachówkach czy podłodze, którędy mógłby się przecisnąć, ale nic takiego nie dojrzał!

Wówczas z dziesięciokrotnie zwiększonymi siłami, z umysłem podnieconym rodzajem straszliwej, szalonej radości, jaka ogarnęła całe jego jestestwo, usłyszał pobudkę do boju. W ciągu kilku minut zbudował pod lukarną barykadę. Do okienka przystawił stół, za stołem drewnianą skrzynię, za skrzynią kilka stołków, za dębowymi stołkami dwie belki, które krzyżując się, podtrzymywały mocno zaimprovizowane rusztowanie.

Następnie w lewą rękę chwycił sztylet, prawą płomiennym gestem wyciągnął z pochwy swój długi rapier, przez chwilę trzymał go uniesiony ponad głową, ze złączonymi piętami, jak na paradzie, wysoko uniesioną głową, wysuniętą piersią, wyprostowany, sztywny, ze wzburzonym umysłem, straszliwy w swym wyglądzie, zawołał chrapliwym głosem:

– Capestang nie lęka się wrogów!

W tej samej chwili przeszedł przez okienko od strony podwórza i ukazał się na szczycie schodów.

Niesamowitą wrzawą przyjęto fantastyczne ukazanie się kawalera, który ze spojrzeniem wypełnionym błyskawicami, rzucił wyzwanie zgrai zgromadzonej u dołu schodów. Concini podniósł głowę i wybuchnął złowrogim śmiechem, który wywinał okryte pianą wargi.

– Oto jest! Oto jest! – wrzeszczeli rębacze.

– Dzień dobry, panowie, płatni mordercy! – ryknął Capestang.

Concini dał znak. Cała jego sfera zamilkła.

– W imieniu króla! – wołał Concini głosem mającym przyjąć władczy ton. – W imieniu króla rozkazuję ci zejść...!

– W moim imieniu oświadczam: zostaję! – zagrmiał Capestang.

– Oddaj szpadę! – warknął Concini.

– W twój brzuch! – ryknął Capestang.

– Panowie, jesteście świadkami, że to jawny bunt! Broń do ręki...!

– Śmierć mu! Śmierć! – krzyczeli siepacze.

– Wam śmierć! Niech was dżuma i cholera! – odciął się Capestang.

– Zdrajca, buntownik! – Zazgrzytał zębami Concini.

– Tchórz i zdrajca! – odpowiedział rycerz.

– Strzeż się! Czeką cię kat...!

– Uważaj! Oto już szuka cię pan de Bellegarde¹⁰!

– Fanfaron! – ryknął rozwścieczony Concini.

– Poliszynel! – odrzyknął Capestang, wybuchając szalonym śmiechem.

Wymyślali sobie gestami, spojrzeniami, postawą, głosem... Pewne formy grzecznościowe, które weszły w modę później, jeszcze nie były znane ówczesnym ludziom. Wróg był wrogiem. Jak podczas wielkich wojen religijnych, jak pod panowaniem Ligi, w tych czasach

¹⁰ *Bellegarde* – tytuł diuka de Bellegarde i para Francji został utworzony w 1619 roku przez Ludwika XIII z markizatu Seurre; tutaj chodzi o drugiego diuka de Bellegarde, którym był Henryk II Burbon – Kondeusz (1588-1646).

zamętu i rozjątrzenia, człowieka, którego chciano zabić uderzeniem szpady, najpierw należało zamordować uderzeniami obelg. Zanim rozpruło się mu gardło lub brzuch, najpierw należało zabić pogardą. Również wojownicy z Iliady, zanim zaczęli używać rąk, spoglądali sobie w oczy i folgowali sercu...

Na ustach Conciniego pojawiła się piana; siepacze z niecierpliwości tupali nogami. Capeatang był dla nich żywą obelgą. Stojąc na górze schodów z rękoma zaciśniętymi na poręczy, przechylony tak, że prawie mógł spaść, w tym rodzaju chwały, w który owijały go promienie wschodzącego słońca, ukazywał się dziki, nieposkromiony; był błyskawicą, która poraża, był pogardą, która druzgocze, śmiechem, który chłoscze... Pozbawiony zahamowań, skupiony na sobie, uważający, że skoro trzeba umrzeć, zupełnie niepotrzebna jest skromność gestów, swą postawą jeszcze przewyższał zachowanie junaka wyzywającego na bój całą armię. Tak naprawdę w tej chwili był syntezą chępliwości, straszliwą i wzniosłą karykaturą szalonego męstwa, żywym obrazem ekspresyjnego fanfaronu!

– Ruszajcie! – rzucił krótko Concini chrapliwym głosem, wykonując gest naganiacza napuszczającego psy na zdobycz.

Siepacze rzucili się naprzód w zwartym szyku, stosując ustaloną metodę ataku, z Rinaldem i Pontrailléem na czele. Potem Bazorges i Louvignac, Chalabre i Montreval, a za nimi z dziesięciu najętych łotrów.

– Żywcem! Dać mi go żywego! – grzmiał Concini.

– Nie obawiaj się! – odciął Capeatang. – Będę żył na tyle długo, by ci plunąć w twarz!

– Do kroćset! Na śmierć szatana! Na brzuch papieża! Na flaki diabła! – wrzeszczeli napastnicy, wbiegając po schodach.

– Chodźcie, moje jagniątko! Chodźcie, niech wam upuszczą trochę krwi...!

– Upieczemy cię na rożnie na świńskim targu! – groził Chalabre.

– Ja będę tym, który natłuści sznur, na którym będzie się kołysał twój suczy szkielet! – grzmiał Louvignac.

– Ja obedrę cię żywcem ze skóry i potnę ją na rzemyki! – ryczał Bazorges.

Pędzili po schodach, z oczami nabiegłymi krwią, z otwartymi ustami, wbiegali jedną masą podobni do potwornego zwierza najeżonego stalowymi ostrzami. Zatrzymywali się na każdym stopniu, by rzucać nowe wiązki przekleństw, nowe apokaliptyczne groźby. Capeatang czekał na nich zwarty, z wyciągniętą szpadą, i odpowiadał im, rycząc.

Nagle na górze wybuchły wrzaski, krzyki, klątwy, obelgi...! Napastnicy dotarli do ostatnich stopni i ruszyli do ataku...!

Stojąc na dole, Concini widział ich uderzenie i słyszał rumor. Zapominając o swoim rozkazie pochwylenia Capeatang żywcem, wołał:

– Bij! Zabij! Brawo, Pontraille! Brawo, Rinaldo! Na niego, Louvignac i Bazorges! Pokażcie swoje kły, moi dzielni chłopcy! Tysiąc złotych talarów dla tego, kto mi przyniesie jego trupa...! Och, ach! Tchórze, tchórze...!

Co się stało...? Otóż w najciaśniejszym miejscu schodów napastnicy chcieli się przecisnąć wszyscy naraz. Doszło do tego, że Capeatang swoją olbrzymią i ciskającą błyskawicę szpada raz po raz siał spustoszenie w tym stosie ludzkich ciał! Tryskała krew, a towarzyszyły temu dzikie okrzyki. Kiedy trzech pierwsi zostali ranni i chcieli się wydostać z tej ciżby, gwałtownie się cofając, pociągnęli za sobą całą resztę aż na podest przy pięttrze.

– Nikczemnicy! Tchórze! Zajęcie! – wrzeszczał Concini. – Naprzód! Bij! Zabij...!

Rinaldo, pociągnięty przez innych, także stoczył się na podest, lecz mężczyzna był odważny. Nie bał się ciężkich ran, po których następowała śmierć. Naprawdę był oddany swemu panu, a poza tym z całych sił nienawidził Capestanga.

Wychylił się na jedną chwilę i odkrzyknął prawie spokojnym głosem:

– Cierpliwości, Ekscelencjo, zaraz ci go przyniosę.

Jednocześnie spojrzał w górę i to, co zobaczył, przejęło go szaloną radością. Capestang nie miał już szpady w ręku...!

Capestang w chwili, gdy napastnicy pokonywali ostatnie stopnie, zbierając się do ataku, zszedł dwa schody niżej. W chwili natarcia wrogów wyciągnął rękę i przebił rapierem czyjąś pierś. Pięć czy sześć razy tym samym ruchem jednocześnie wściekłym i spokojnym – jeśli te dwa określenia zdołają wytłumaczyć to, co w jego obronie było zarazem szalonego i metodycznego. Kolejny raz zanurzył szpadę... i nagle, gdy cofnął się po zadanych ciosie, zobaczył, że w ręku pozostał mu jedynie mały odłamek broni. To Rinaldo straszliwym uderzeniem złamał jego szpadę.

W tej samej sekundzie Capestang poczuł, że jest zgubiony. Oczy nabiegły mu krwią, bolesny śmiech wykrzywił sine usta. Co teraz? Co robić? Nic! Miał tylko sztylet. Zanim nim dosięgnie jakiejś piersi, zostanie przekłuty, rozszarpany na kawałki...

Westchnął, ogarnięty wściekłością i rozpaczą.

W tej samej chwili usłyszał krzyki napastników:

– Jest bezbronny...! Naprzód! Do ataku...! Zabić go! Zabić!

Ujrzał ich pędzących po schodach, niby gromadę wilków... To już był koniec...!

Młody rycerz odwrócił się ku strychowi tym ruchem skazańca, który w ostatniej chwili rozgląda się wokoło, chcąc prosić o pomoc nadprzyrodzone moce.

Nagle zadrżał, a straszliwy śmiech wydobył się spomiędzy jego warg...

Ruchem szybkim jak piorun schylił się i podniósł jakiś przedmiot, który zobaczył u wejścia na strych, naprzeciw lukarny.

Siepacze marszałka nacierali zapamiętale; rozlegało się wściekle wołanie:

– Rinaldo, przybywaj z pomocą!

Temu okrzykowi odpowiedział ryk Capestanga:

– Henryku Wielki, przybywaj na pomoc!

Wówczas Concini stojący na podwórzu, zgromadzeni przechodnie – około pięciuset paryżan stłoczonych w pobliżu oberży, chcących asystować przy schwytaniu ofiary, wszyscy mogli zobaczyć cudowną, niesłychaną rzecz, bajeczną jak wskrzeszony epizod z walk bohaterskich antycznych półbogów.

Na górze schodów Capestang bez szpady, bez sztyletu (który odrzucił), z całych sił bił się i zabijał uderzeniami rozbrzmiewającymi jak uderzenia gongu, okładał napastników czymś w rodzaju ogromnej żelaznej płyty! To był sztyld zajazdu, który mistrz Lureau złożył na strychu po zdjęciu go! Był to sztyld z wizerunkiem Henryka Wielkiego. Zatem Henryk IV rozbijał czaszki, gruchotał kości, podnosił się i opadał, zmuszał oszalałych, wściekłych zbirów do odwrotu, a oni stacali się jak jedno wielkie grono aż do początku schodów!

Wówczas Capestang uniósł sztyld na wyciągniętych ramionach i pokazał go zgromadzonemu ludowi, który przyglądał się tej walce tytana, jednocześnie grzmiącym głosem krzycząc:

– Niech żyje Henryk IV! Niech żyje Henryk Wielki...!

Rozgorączkowani ludzie, uniesieni entuzjazmem, zerwali z głów czapki, toczki, kapelusze, rzucali nimi w górę i krzyczeli potężnym chórem:

– Niech żyje Henryk Wielki!

Cała ulica Vaugirard była zapchana. Ludzie nadciągali ze wszystkich stron. Krążyły dziwne pogłoski, przenoszone z ust do ust, a z podwórza przed oberżą wrzawa rozlała się, rozciągała dalej, a nad tumultem wciąż brzmiał okrzyk:

– Niech żyje Henryk Wielki!

Concini ze złości darł włosy, Rinaldo bandażował sobie głowę, Pontraille, Chalabre i dziesiątka innych opatrywała rany, a na górze Capestang, wzburzony, w postawie fanfaronna, ryczał wniebogłosy:

– Henryk IV i Capestang służą pomocą! Niech żyje Henryk Wielki!

Przez wzburzony tłum przebiegły owe szybkie dreszcze, które kiedy przebiegają przez ocean, przepowiadając burzę, a gdy przebiegają przez twarze ludu, obwieszczają rozruchy. Lud, coraz bardziej podniecony, odpowiadał na to wezwanie jednym wielkim krzykiem: „Niech żyje Henryk Wielki!”

Doszło w tej chwili do jednego z tych straszliwych nieporozumień, które czasami preradają się niebotyczną farsę, z której śmiać się mogą późniejsze wieki, lecz która niekiedy nagle zamienia się w krwawą tragedię, zarzucając żałobny kir na cały ustęp historii.

Capestang, krzycząc: „Niech żyje Henryk Wielki!”, miał na myśli wizerunek Henryka IV, a nawet nie to... On gloryfikował sztyl! Ten kawałek żelaza, tę misternie obrobioną płytę, która posłużyła mu za maczugę! On gloryfikował bitwę w oberży „Pod Henrykiem Wielkim”...

Tymczasem tłum, powtarzając ten sam okrzyk, sławił niejako rokosz, starał się przejąć burzę z dnia poprzedniego w tym punkcie, w którym ją pozostawił... Wrzaski pospólstwa znaczyły:

„Niech żyje bohater ludu! Niech żyje filar Kościoła! Niech żyje niszczyciel heretyków! Niech żyje zabójca z nocy Świętego Bartłomieja! Niech żyje rewolta z Dni Barykad! Niech żyje Henryk Wielki! HENRYK ŚWIĘTY! HENRYK GWIZJUSZ!”¹¹

Jednak w chwili, gdy Concini, pobladły nie tylko ze wściekłości, ale też z przerażenia, spoglądał na buntowników, ogromna masa zebrana na ulicy Vaugirard zaczęła uciekać; kruszyła się, roztopiała, rozpraszała się jak potworne bałwany łamiące się na wybrzeżu.

– Bić ich, bić bez litości! – ryczeli ludzie Concinię, wybiegając na drogę.

Z ulicy Tournon trzydziestu albo czterdziestu rajtarów marszałka d’Ancre pędziło na koniach cwałem, przewracając, tratując wszystkich, którzy znaleźli się na ich drodze. Znalazłszy się między nimi a zbierami biegnącymi z oberży, tłum zawirował jak suche liście uderzone przeciwnymi wiatrami.

Na krótką chwilę rozległ się krzyk grozy, potem szalona ucieczka przez ulice, uliczki, pola, ogrody, a żołnierze i agenci marszałka d’Ancre zebrali się przy oberży.

– Do ataku! Naprzód! – rozkazywał Concini, wskazując schody.

¹¹ Należy odnotować, że Henryk Gwizjusz, Henryk „Szramowaty”, główny przywódca Świętej Ligi, zmarł na zamku Blois w 1588 roku w okolicznościach, które przedstawiliśmy w poprzednim tomie. Należy także dodać, że jego syn, który jest jednym z bohaterów tej opowieści, miał na imię Karol, a nie Henryk. Jednak na skutek pewnego fenomenu, którego przykładów jest znacznie więcej, w pamięci ludu żył Henryk I, prawdziwy przywódca. Dla niektórych jeszcze wciąż żył naprawdę... Także książe Reichstadt mógł się nazywać Józef (chodzi tu o Napoleona II, prawowitego syna Napoleona I, zwanego Orlątkiem), lecz dla ludu był zawsze Napoleonem I, który, jak głosiły pogłoski, jeszcze długo żył po swej śmierci na Wyspie Świętej Heleny [przypis M. Zévaco].

Capestang, widząc przybywające posiłki, rajtarów dołączających do przybocznych, stwierdził, że przyjdzie mu stawić czoło stu ludziom wprawionym w wojenne rzemiosło, i uczuł wstrząsający nim dreszcz dumy. Cofnął się w głąb strychu i zaczął barykadować okienko! Chciał mieć możliwość przetrzymania strasznego oblężenia... Marzył o zaszczytnej śmierci, która zostałaby zapisana w annałach... Zręczny, zwinny, ogarnięty szaleem, układał stos ze wszystkiego, co wpadło mu pod rękę...

Gdy skończył, obtarł zroszone potem czoło, skrzyżował ramiona i zawołał:

– Chodźcie teraz, moje jagniątko! Nowa walka! Ale miejcie się na baczności, bo jest was tylko setka...!

Zaraz jednak zwróciła jego uwagę panująca na zewnątrz cisza. Nie tylko rozkaz Concinięgo nie został wykonywany, nie tylko nikt nie ruszał do ataku, ale można było przypuszczać, że tak siepacze, jak i rajтары, wszyscy odeszli!

To go zaniepokoiło. To milczenie następujące po strasliwej wrzawie poczytywał za złowrogą wróżbę.

– Naradzają się – mówił do siebie. – Nad czymś się zastanawiają... ale nad czym? Och, co to takiego...? – dodał nagle, a jego wzrok napełnił się trwogą.

W jednym z kątów strychu dostrzegł obłoczek dymu...!

Capestang przez chwilę stał nieruchomo, wąpiąc, chcąc jeszcze wąpić...! Białawy dym, który kłębamii czołgał się na poziomie podłogi, nagle się podniósł, a jego spirale zmieniły barwę na czarną i niebawem gwałtowny duszący dym zakotłował się w górze... Potem rozległy się szmery, trzaski, gwizdy, a z tego kąta, w którym wszystko się zaczęło, buchnęły płomienie... Oberża się paliła...!

Zatem nie odeszli! Ułożyli stos z chrustu i faszyny i chcieli go uwędzić niczym lisa. Pokonani jego męstwem, przywołali na pomoc pożar.

– Nikczemnicy! Nikczemnicy! – ryczał Capestang, wodząc dokoła błędnym wzrokiem, szukając broni, kawałka żelaza, czegokolwiek!

I nic nie znalazł! Miał tylko odłamek szpady. Płomienie gwizdały, wyły, wiły się wokół niego... Z jego ust wydobył się rozpaczliwy, obłąkańczy śmiech!

– Chciałem niczym drugi Empedokles znaleźć grób w kraterze Etny, a mam ginąć jak oprawione prosię w ogniu wznieconym z chrustu! Zginąć taką ośmieszającą śmiercią! Ja miałbym zostać ośmieszony?!

Na dworze raz po raz wybuchały i krzyżowały się krzyki, obelgi, przekleństwa, okrzyki szaleńczej radości. Mieszały się z hukiem i gwizdami szerzącego się ognia, co tworzyło dziwny tumult. Na podwórzu i na ulicy siepacze oraz rajтары, zadartłszy głowy i zacisnąwszy pięści, wygrażali Capestangowi.

Nagle młody rycerz ukazał się na górze schodów i zaczął z nich schodzić, potrząsając trzymanymi w jednej ręce sztyletem, zaś w drugiej odłamkiem szpady, podobny do dzikiego zwierza porzucającego legowisko i wyciągającego ostre pazury...

Cała banda cofnęła się instynktownie, gdyż człowiek zdecydowany na śmierć wydziela jakby magnetyczną siłę i odwagę... Potem nagle wybuchnęła piekielna wrzawa, a po niej znowu pośród oprawców stojących ze ściśniętymi zębami zapanowało głębokie milczenie.

Capestang, stanąwszy na podwórzu jak w apokaliptycznym śnie, z duszą wyrwaną z oków, z szalejącymi myślami, widział te konwulsyjnie ściągnięte twarze, te oczy nabiegłe krwią, te zacisnięte usta, te wzniesione w górę ramiona, połyskujące szpady; zadawał ciosy na chybił trafił, ciosy szaleńcze, podwajane; dookoła i na niego krew lała się strumieniami.

On ciągle uderzał, nic już nie czuł: ani otrzymanych ran, ani krwi zalewającej mu oblicze... Nagle padł na ziemię!

To dziesięciu ludzi, którzy się na niego rzucili, krępowało mu nogi, ręce... Następnie zziąjanego i rozbitego wrzucono na grzbiet konia...

– Zabierzcie go do pałacu! – warknął Concini ostrym, chrapliwym, ledwie zrozumiałym głosem.

Podczas gdy zabierano związanego, konwojowanego przez trzydziestu rajtarów kawalera, marszałek i jego siepacze, zbryzgani krwią, otoczeni dokoła trupami i rannymi, z oberżą w płomieniach, spoglądali na siebie bladzi, zasapani, zmordowani, jakby szturmem zdobyli miasto i jeszcze walczyli z całą armią!



Rozdział XXXVI

Catachresis!

Poprzedniego dnia Cogolin, idąc za swoim panem w owym bajecznym pochodzie przez wzburzony Paryż, uczestniczył w tym niesłychanym zdarzeniu: Capestang prowadził do Luwru dowódcę rokoszu, księcia Kondeusza, który miał być tryumfátorem, a stał się więźniem.

– Najmniejsze, co może przydarzyć się memu panu – mruczał pod nosem – to wrzucenie do wody albo może powieszenie przy sztyldzie. A jeśli wiesz się lub topi mego pana, to co zrobią ze mną? Może obdą mnie ze skóry! Och, biedny Cogolinie, to bardzo zły układ ciał niebieskich, jak mawiał mój były szef, astrolog!

Musimy Cogolinowi oddać honor, że chociaż uważał się za zgubionego i nie przestawał wzywać na pomoc dwóch czy trzech świętych ze swoich przyjaciół, szedł krok w krok za swoim panem i pilnie obserwował jego najmniejsze gesty.

Przejdzie przez Pont-Neuf, uzbrojeni mieszczanie, tumult, ogólne wrzenie tłumów, pośród których czuł się popychany jak kruchutka słomka, przybycie do Luwru, wejście Capestanga i księcia Kondeusza – wszystkie te wizje następowały po sobie jak jakieś fantastyczne sny. A kiedy zobaczył, że Capestang dotarł nie tylko cały i zdrowy, ale jeszcze zaprowadził księcia do samego Luwru, zwyczajnie osłupiał, wytrzeszczył oczy i szeptał:

– Do pioruna...!

Kiedy Cogolin pozwalał sobie na takie samo przekleństwo co kawaler, to znaczyło, że zupełnie nie był sobą.

Ile czasu pozostawał w tym stanie, podzielony między osłupieniem spowodowanym świadomością, że jeszcze żyje, a podziwem, jaki wywoływał w nim jego pan, zupełnie nie wiedział.

Kiedy rozejrzał się wokół siebie, spostrzegł, że sytuacja dziwnie się zmieniła.

Stojąc z drugimi przed pałacem, giermek Capestanga słyszał podawane sobie z ust do ust słowo: zdrada! Obok niego kilku mężczyzn gestykulowało i krzyczało, że księżę poddał się Ludwikowi XIII, że opuścił wszystkich tych, których wciągnął do buntu. Ostrożniejsi już wymykali się cichaczem... Wrzawa zwolna się uspakajała. Niepokój ogarniał ciągle liczne gromady, które jeszcze żywiły jakąś nadzieję. Jednak niepokój zamienił się w przerażenie, gdy ujrano kompanię muszkietierów i drugą kompanię arkebuzerów z lontami zapalonymi w rękach. A kiedy na koniec pojawił się stary marszałek Ornano, oświadczając, że księżę podporządkował się królowi, że wojsko zacznie strzelać do zbuntowanego tłumu, mieszczanie uciekli, porzucając halabardy, by móc biec szybciej.

Cogolin postąpił tak samo jak inni.

Kiedy w końcu zatrzymał się zdyszany, wyprostował się, jak to widział u swego pana, i powiedział:

– Po pioruna! Odnieśliśmy zwycięstwo!

Wycierając sobie czoło, pomyślał, że kawaler niewątpliwie spędzi noc w Luwrze. Przez chwilę nawet miał ochotę wrócić do głównej bramy i po prostu powiedzieć:

– To ja, Cogolin, giermek rycerza Capestanga.

Lecz po kilku krokach zrobionych w kierunku Luwru począł mieć wątpliwości co do tego, jak zostanie przyjęty, i co do sławy swego nazwiska. Wówczas postanowił, że tylko

przed sobą będzie słał wielkie zwycięstwo. Przeszukując kieszenie, przypomniał sobie, że na razie to kawaler miał sakiewkę, ale też zobaczył, że sam miał sześć talarów. Cogolin postanowił więc, że przeje i przepije całą sumę, aż do ostatniego sou¹², przekonany, że jutro rano będzie opływał w bogactwa. Przecież król nie zapomni okryć złotem tego, który przyszedł go uratować.

Rozejrzał się wokół siebie i spostrzegł, że szalona ucieczka doprowadziła go w okolice Temple, której milcząca wieża wznosiła swą ciemną bryłę na tle czarnego nieba.

Cogolin był zdziwiony, że biegł tak szybko i dobiegł tak daleko, jednak nie poprzestał na tym w podziwianiu samego siebie.

– To moje nogi – stwierdził. – Faktem jest, że są długie i jedna z nich ma tyle, co dwie kogoś innego. Jest to przewaga, jaką posiadam nad moimi kompanami, a nawet nad kawalerem de Capestang. Więc celebруем jego chwałę i moją *inter pocula*¹³, jak mawiał mój szef, profesor liceum.

Mówiąc to, skierował się ku centrum Paryża.

Dotarłszy do skrzyżowania rogu ulicy du Chaume z ulicą des Quatre-Fils, przystanął, zdziwiony widokiem, jaki mu się przedstawił: z dalszych ulic Paryża nadchodzili grupkami ludzie, po trzech lub czterech, jedni konno, inni pieszo, trzymając w rękach małe papierowe latarnie, oświetlające im drogę. Była to niezbędna ostrożność, bowiem ulice były bardziej lub mniej podziurawione i wypełnione nieczystościami. Wszyscy nocni wędrowcy wchodzili do głównej bramy dużego pałacu, który Cogolin, doskonale znający swój Paryż, natychmiast rozpoznał.

– Pałac Gwizjusza! – wyszeptał przez zęby. – Czyżby u księcia miałyby być jakieś tańce i wszyscy ci ludzie przychodzą balować na cześć zwycięstwa Jego Królewskiej Mości...? Hm, to bardzo dziwni tancerze, o tajemniczych minach, z kolbami pistoletów, które u nich zauważyłem. Poza tym pałac jest tak mroczny, jak niebo bez księżyca, żalosny jak maślanek, groźny jak łeb dzika. Cóż u diabła ma zająć dzisiaj w pałacu Gwizjusza?

– Precz stąd! – zabrzmiał obok niego jakiś głos.

Cogolin ujrzał poruszający się tajemniczy cień, słyszał szcęk broni, i tym razem jeszcze szybciej umykając na swych długich nogach, oddalił się na bezpieczną odległość od tych, którzy tworzyli tak dobrą ochronę wokół pałacu.

Tak dotarł do ulicy Sainte-Croix-de-la-Bertonerie, która przez zniekształcenie zyskała później miłszą nazwę Sainte-Croix-de-la-Bretonnerie, i wkroczył do pewnej uliczki o złej sławie, nazywanej – nie wiemy dlaczego – ulicą des Singes¹⁴. Ulica des Singes była prawdziwą kloaką, zarówno z punktu widzenia moralnego, jak i fizycznego. I z prawej, i z lewej strony, podpierając się jedna o drugą jak stare pijaczki, garbate, krzywe, jednookie, z trędotawymi twarzami, nadętymi brzuchami, nasadzonymi na bakier dachami jak czapki podchmielonych zawadiaków, stało ze dwanaście domów... właściwie ruder. Każdy parter był szynkiem, każdy szynk miał szyld, a wszystkie godła płątały się, zderzały i skrzypiały przy najlżejszym podmuchu wiatru.

A jakież były to szyldy! Cała niewinna beczelność czasów, kiedy jeszcze nie było przekonania, że miłość jest rzeczą wstydliwą, tu kwitła w dytyrambach na cześć Bachusa¹⁵ i We-

¹² Sou – dawna moneta francuska, jedna dwudziesta liwra.

¹³ *Inter pocula* (łac.) – między pucharami.

¹⁴ *Ulica des Singes* – ulica Małp.

¹⁵ *Bachus* (Dionizos) – w mitologii greckiej bóg żywotnych sił natury objawiający się w szale religijnym, utożsamiany z rzymskim Liberem; syn Zeusa i córki Kadmosa, Semele.

nus¹⁶. Żałujemy, że oficjalnie przyjmuje się, iż ucho współczesnego Czytelnika jest delikatnym organem, muszącym owijać się bawełną, a z drugiej strony, ponieważ czujemy wstręt do hipokryzji eufemizmów, jesteśmy zmuszeni to przemilczeć, więc nie będziemy opowiadali o arcydziele spokojnego i okazałego bezwstydu, które znajdowało się na szyldzie knajpy, do której podchodził Cogolin.

Cogolin był wygłodzony. Cogolin był spragniony, ale Cogolin był cnotliwy... a nawet przesadnie wstydlivy jak na jego czasy. Zasiadł więc przy stole, gdzie kazał sobie podać dwie butelki wina z Andegawenii, przysmażoną słoninę, szynkę z jajkami i inne, bardziej ostre potrawy, ale delikatnie odepchnął przywiedłą rozpustnicę, rozczochraną, rozchelstaną, chcącą usiąść mu na kolanach. Do tej nory przybywali, podobnie jak do jej sąsiadek, majtkowie z Sekwany, złodzieje i żołnierze. Kilka długich stołów, zastawionych dzbanami, dzbankami i kubkami, zaplamionych czerwonymi plamami z wina, proste ławy i grube ciosane stołki stanowiły całe umeblowanie. Na ścianach kolorowe obrazy, rozwieszone byle jak, przedstawiały Żyda Wiecznego Tułacza¹⁷ z kijem pielgrzymim w dłoni, Dziewicę na kuli przypominającej Ziemię, zginiatającą stopami węża, Pogrzeb pana Kredytu składanego do ziemi przez złych płatników oraz wiele innych o różnej tematyce, których z wyżej wymienionych przyczyn dotyczących delikatności uszu wzbraniamy się nazywać, a tym bardziej opisywać.

Cogolin zabrał się do jedzenia i opróżniania wielu kubków na cześć zwycięstwa i uśmiech losu Capestanga. Tak dobrze to czynił, że przy drugiej butelce już nie czerwienił się na widok nieprzyzwoitych póz, jakie widział na malowidłach wiszących na ścianach, a przy trzeciej nie był wcale zaskoczony widokiem siedzącej mu na kolanach, lgnącej do niego ładacznicy, którą wcześniej odepchnął gestem pełnym dostojeństwa. Jednym słowem, używając wyrażenia, które wymaga pomsty moralności, upodabniając się do zwykłych ludzkich świń przekraczających dozwolone granice, Cogolin tarzał się w orgii; stoczył się w swoim opilstwie i podłości; stał się skończonym pijakiem, lubieżnikiem bez żadnej skromności. Ta rozpusta, której celem było głoszenie chwały jego pana – ponieważ człowiek jest zawsze zdolny do pokrywania swoich wylewności lakierem, który je upiększa – ta rozpusta, jak powiedzieliśmy, trwała całą noc. Faktycznie, w tym okresie zamętu, gdy strażę prawie nie odważały się wychylić nosów poza posterunki, wszelkiej maści tawerny i speluny pozostawały tak długo otwarte, jak tylko miały gości.

Cogolin więc tarzał się w swej bezecności do czasu, aż spostrzegł, że ładacznica wymknęła się delikatnie i bez pożegnania z nim. W tej chwili gospodyni oparła dwie pięści na stole i patrząc na niego z góry, wlepiła w niego wzrok.

– Pić! – zawołał Cogolin.

– Zapłać najpierw za to, co wypieś i zjadłeś do tej pory, ponieważ, dzięki Bogu, nie brakowało ci niczego! Za wszystko należy się pięć talarów!

Cogolin uśmiechnął się. Doskonale pamiętał, że posiadał sześć talarów, zatem pozostawał mu jeden, który mógł zamienić na żywność i napitki.

¹⁶ *Venus* (Wenera) – w mitologii rzymskiej bogini miłości, utożsamiana z grecką Afrodytą.

¹⁷ *Żyd Wieczny Tułacz* – według średniowiecznej legendy stróż Piłata albo szewc, który popędzał Chrystusa w czasie drogi krzyżowej na Golgotę; na jego kolejne napomnienie Chrystus miał powiedzieć: „Idę, idę, ale ty poczekasz do mego powrotu”; odtąd Tułacz wędruje po całym świecie, wzywając ludzi do wyrzeczenia się życia w grzechu; występuje często w literaturze, np. w *Rękopisie znalezionym w Saragossie* Jana Potockiego czy jako tytułowy bohater powieści Eugène’a Sue.

Zmarszczył nos, rzucił wokół błędnym wzrokiem, rozdziawił gębę aż po same uszy. Cogolin był w tej chwili ohydny, z jego kiwającą się głową, twarzą pijaka, podobny był do starego Sylena powracającego do zbierania winogrona, ale Sylena chudego, Sylena łysiego, ponieważ peruka stoczyła się z głowy na ławę, a z ławy na posadzkę, gdzie walała się – ona także – w hańbiącej kałuży niespożytego wina¹⁸.

– Pić! – powtórzył chełpliwym tonem. – Mam czym zapłacić, jak myślę! Z sześciu talarów można wydać pięć! Daj wina, i to dobrego!

– Najpierw zapłać – powiedziała karczmarka, rzucając wymowne spojrzenie na Pogrzeb pana Kredyta.

Cogolin wzruszył ramionami jak człowiek, który ulega, chcąc zadowolić czyjś niewytłumaczalny upór.

Tymczasem gospodyni była już całkowicie spleciona. W rzeczywistości Cogolin zjadł i wypił za trzy talary, a ona już odebrała cztery od ladacznicy, która ukradłszy nieszczęsnemu Cogolinowi sześć talarów, w zupełności zadowolili się dwoma. Szynkarka była więc podobna do urzędu skarbowego domagającego się dwa razy zapłaty i nic niezwracającego, gdy zauważy swoją pomyłkę. Zatem ta łotrzyca – mówimy o gospodyni – nie miała nic innego na celu jak zabezpieczyć się, gdyby jej klient nie miał jakiegś innej gotówki.

Ale Cogolin daremnie przeszukiwał wszystkie kieszenie. Nie znalazł ani sześciu talarów, ani zaskórniaka.

Był jak porażony i na matronę, która już podparła się pod boki, co było przedwstępnym gestem do wykrzyczenia serii obelg, podniósł zasmuconą twarz ukazującą wzrok zamglony przez łzy rozpacz i wypite wino.

– Nic nie mam – jękał się. – Nie wiem, jak się to stało, ale...

Cogolinowi nie dane było dokończyć myśli...

– Oszuście! Łajdaku! Złodzieju! Szubieniczniku! – krzyczała szynkarka. – Ach, pijesz, nie płacisz! Niech cię weźmie cholera! Niech cię pożre febra! Ach, rozpustniku, nicponiu, łobuzie, skąpcu, bezbożniku, sprośny oszuście, heretyku, rogaćcu!

To ostatnie słowo rzucone było z całą mocą, jako zakończenie przemowy. Cogolin, zasypany gradem obelg, zachowywał spokój, który przeciwstawiłby się rzucanym oszczerstwom, gdyby nie towarzyszył im inny grad, znacznie silniejszy: walenie pięścią, kopanie, obijanie kijem przez gospodynię, jej męża i syna, którzy przybiegli przywołani krzykami szynkarki. Rozlegały się okrzyki, wrzawa, jęki i w końcu Cogolin, zwleczony z ławy, szturchany, popychany, szarpany, został wyrzucony na zewnątrz ostatnim kuksańcem i stoczył się do rynsztoku, potłuczony, zdezorientowany, krwawiący i żałośnie narzekający.

Cogolin niemilosiernie jęczał i krzyczał, lecz nikt nie przychodził mu z pomocą. Wiedząc, że nic nie zyskuje wołaniem: „Pali się!” i „Morduj!”, podniósł się z ziemi, obmacał się i stwierdził, że nie ma żadnych złamań. Następnie, zamroczony wypitym winem, laniem, jakie otrzymał, i zdziwieniem, jakie wywołało niepojęte zniknięcie sześciu talarów, kulejąc, ruszył w drogę, obijając się o mury, czepiając narożników, przewracając się przez śmieci, tu zatrzymywany i kopany przez jakichś złodziei, tam przez grupkę młodych paniczów...

Jeżeli uliczka des Singes była kloaką, to także reszta miasta, nawet najpiękniejsze dzielnice wymagały porządnego oczyszczenia.

¹⁸ Sylen – w mitologii greckiej wychowawca boga wina Dionizosa, przedstawiany jak opasły starzec, zwykle na grzbiecie osła i z kielichem wina w ręce.

Bezlądna gmatwanina domów,
Błoto na wszystkich kołach;
Mosty, kościoły, pałace, więzienia,
Sklepy dobrze lub źle zaopatrzone;

Mnóstwo ludzi czarnych, rudych lub siwych,
Skromnisie, dziewczyny zatracone,
Zabójstwa i zdrady,
Pisarze o wykrzywionych rękach;

Wielu upudrowanych, niemających pieniędzy,
Wielu mężczyzn bojących się strażnika,
Wielu fanfaronów drżących jak osiki;

Paziowie, lokaje, nocni złodzieje,
Karety, konie i wielki hałas:
To jest Paryż, jaki wy widzicie!

Ten dobrze znany sonet, jaki Scarron¹⁹ miał napisać trochę później, który zresztą nie rości sobie pretensji do długiego poematu, daje nam jednak niedoskonały, ale prawdziwy szkic Paryża przemierzanego przez Cogolina, potykającego się i nieustannie gawędzącego z samym sobą na temat umiarkowania, czystości i męstwa oraz wszystkich innych cnót, jakich mu zabrakło tej nieszczęsnej nocy.

Kierował się w stronę ulicy Vaugirard nie w nadziei, że odnajdzie tam Capestanga, ale z myślą, że zdoła odpocząć na strychu i tam wytrzeźwieć po nadmiernym spożyciu wina i odpocząć po pobiciu.

Zaczął świtać dzień, kiedy pojawił się w okolicy pałacu o bardzo okazałym wyglądzie, gdzie w przeciwieństwie do tego, co zobaczył wieczorem przy pałacu Gwizjusza, we wszystkich oknach błyskały światła, lecz drzwi były szczelnie zamknięte. Światła przesuwwały się we wszystkich kierunkach, co świadczyło o wielkim poruszeniu w budynku. Można było przypuszczać, że słudzy i przyjaciele domu byli czymś przestraszeni, że musiało przytrafić się jakieś nieszczęście...

Pałac ów należał do Kondeusza, a zebrani w nim jego stronnicy po zaarrestowaniu księcia zadawali sobie pytanie, czy mają prowadzić dalej walkę czy też poddać się królowi, czy przejść z bronią na stronę Gwizjusza.

Cogolin siedł wzdłuż pałacu, który położony nad główną fosą, nadawał tej ulicy nazwę des Fossés-de-M.-le-Prince-de-Condé²⁰.

– Ho, ho! – mówił Cogolin. – W pałacu Gwizjusza okna były bardzo zaciemnione, za to zbyt wielu ludzi kręciło się po ulicy; tutaj zbyt dużo światła paliło się wewnątrz i zbyt wielka

¹⁹ Paul Scarron (1610-1660) – francuski pisarz; przeciwstawiał się sztuczności ówczesnej literatury (préciosité); autor *Opowieści ucieśnej* (cz. 1-2, 1651-57, wyd. pol. 1954), parodiującej konwencje romansu heroiczno-miłosnego, poematu *Virgile travesti* (1648-52), będącego trawestacją *Eneidy* Wergiliusza, uznanego za klasyczny przykład burleski, także nowel i dramatów.

²⁰ Pałac Kondeusza znajdował się niemalże na miejscu obecnego Odeonu; ulicy, na której znalazł się nasz bohater, stopniowo skracano nazwę, początkowo na ulica des Fossés-Monsieur-le-Prince, a później na ulica Monsieur le Prince [przypis M. Zévaco].

cisza panowała na zewnątrz. Wszystko to wskazuje na to, że Paryż ma krwiste usposobienie, jak mawiał mój były szef, aptekarz. Lecz co mnie to obchodzi? Ja chcę się wyspać. Czy Lotaryńczyk, czy Bearnieńczyk zwyciężą, czy Kondeusz, Gwizjusz i Ludwik będą panowali razem, albo nawet żaden z nich, to czy w jakiś sposób zmieni się mój smutny los? A los tych wszystkich imbecyli, którzy wrzeszczą: „Niech żyje!” ten, albo „Niech żyje!” tamten, a żaden z nich nie pomyśli, żeby krzyknąć: „Niech żyje ja!”. Do pioruna, co ja mam na głowie? Czapkę z ołowiu...? Och, już więcej nie będę pił! Jeśli jednak byłaby jakaś otwarta knajpa, a ja miałbym kilka dukatów... Do licha, oszaleję z pragnienia...! Hola! Kto tam idzie? To pan, panie kawalerze? Nie, to kamienna amazonka. Och, przeklęta, złamała mi żebro! Spać, spać. Na flaki Naszego Ojca Świętego! Mam całą głowę w kawałkach! Pijak! Rozpustnik! Lubieżnik...! Ja, lubieżnik! Och, popełnia pan błąd, proszę pana... Nie! To słup przy murze, który daje wsparcie memu ramieniu. Nie mogę temu zaprzeczyć. Jestem przemielony, zdruzgotany. Dlatego idę zygzakami. Hola! To jakaś maskarada? Dlaczego tak wszyscy biegną i krzyczą? Zatrzymajcie się, łajdaki...!

Uderzony nagle pięścią w nos, giermek Capestanga padł jak długi na jezdnię ulicy Vaugirard, na którą doszedł, cały czas monologując. Usłyszał wściekle krzyki. Poczuł na swoim grzbiecie stopy tłumu ludzi, którzy w pędzie po nim przebiegali...

Przerażony, osłupiały, tłuczony, miażdżony, prawie nieprzytomny Cogolin zdołał się przeczołgać do kąta. Cały czas jęcząc, podniósł głowę i nagle zupełnie zgłupiał z przerażenia na widok tego, co zobaczył.

Znajdował się przed oberżą „Pod Henrykiem Wielkim”, jego oberżą! Otaczali ją uzbrojeni ludzie! Podwórze zatłoczone było szlachcicami ze szpadami w dłoniach.

– Cóż znowu? To ja wynająłem to mieszkanie...! – mruzczał Cogolin. – Co tu robi człowiek z wychudzonym obliczem, które rozpoznaje?

Natychmiast wytrzeźwiał. Wychudzona twarz zbliżyła się do Conciniego i coś do niego mówiła... To był Laffemas...!

Cogolin jak we śnie widział Laffemasa biegnącego do szopy, a później wychodzącego z wiązkami chrustu, które własnoręcznie podpalał...!

– Brawo, panie Laffemas! – krzyczał Concini.

– Laffemas! – warknął Cogolin. – Ten łotr z pałacu d'Angoulême! Dlaczego on podpala moją oberżę...? Poskarżę się memu panu... Ach, mój pan! Tam! Schodzi ze schodów...! Wielki Boże...!

Uczył wysiłek, by się podnieść. Udało mu się klęknąć na ziemi.

Oślupiały, przerażony, z oczami rozszerzonymi zgrozą, był świadkiem ostatniego i szybkiego epizodu pojmania Capestanga. Widział, jak upadł, widział, jak wrzucono go na konia. Cogolin, szlochając, szedł w pewnej odległości za triumfującą bandą i dostrzegł, że wszyscy ci ludzie otaczający jego pana, weszli do pałacu Conciniego...!

– Mój biedny pan jest zgubiony! Biedny kawaler de Capestang nie żyje...!

W tym miejscu tracimy ślad Cogolina, by odnaleźć go jakiś miesiąc później. Co się działo w tym czasie? Wiemy tylko, że każdej nocy regularnie sypiał w podpalonej oberży, bowiem w istocie ogień nie zniszczył jej całkowicie. Jako tako obroniła się kuchnia i główna sala oraz przyległe pokoje, to znaczy pomieszczenia znajdujące się na parterze. Nie było ani strychu, ani zewnętrznych schodów. Dlatego też Cogolin urządził się w kuchni, z której zro-

bił swoją główną kwaterę. Sypiał w wielkiej skrzyni wypełnionej słomą, zajmował się naprawianiem odzieży i butów, żywił się tym, co zdobył swoją działalnością. Czym się zajmował? Tego nie wiemy. Niewątpliwie w ciągu tego miesiąca, bardzo dla niego smutnego, miał się różnych zajęć, które mógł wykonywać człowiek nieznający żadnego rzemiosła. Może nawet nocą obciął kilka sakiewek i ukradł kilka płaszczy na moście Pont-Neuf, który w owym czasie był głównym miejscem grasowania złodziei – nieszlachciców lub szlachciców...

„Diabeł mnie podkusił, bym wrywał płaszcze i zabierał ubrania z ozdobami” – pisał w tym czasie najjaśniejszy pan d’Esternod²¹. Cogolin, który nie był najjaśniejszym panem, zapewne dał się podkusić diabłu. Może niesłusznie go oskarżamy, lecz przecież był to bardzo łatwy połów. Krótko mówiąc, musimy się przyznać, że życie Cogolina z tego miesiąca pozostaje dla nas tajemnicą.

Zatem miesiąc, albo coś koło tego, upłynęło od czasu pożaru oberży „Pod Henrykiem Wielkim”, od tego dnia, w którym kawaler de Capeatang został uniesiony do pałacu Conciniego jak do straszliwej jaskini, z której, jak wszystko na to wskazywało, nigdy nie wyjdzie żywy – jednak w chwili, kiedy przewieszony przez konia przekraczał bramę pałacu, jeszcze żył.

W dniu, do którego teraz nawiązujemy, siąpił jeden z tych drobnych deszczyków, które nie mają żadnego motywu, by kiedykolwiek przestać, i są w niebie tym, czym akademickie dyskusje w celu zdobycia wiecznej chwały.

W tym dniu jakiś człowiek szedł ulicą de la Juiverie, skurczony, prześlizgując się pod daszkami sklepików, by uniknąć strumieni wody spływających z dachów, przy których wówczas nie było ani rynien poziomych, ani pionowych. Musiał to być jakiś wyjątkowy osobnik, skoro go zauważano, a przechodnie odwracali się, by przez chwilę jeszcze śledzić go spojrzeniem. Przy bucie prawej nogi miał jeszcze przyczepioną żelazną ostrogę, podczas gdy druga obuta była w zwykły sandał mnicha. Na czymś w rodzaju kaftana, którego szkarłatna barwa zmieniła się na buroszarą, nosił dziurawy płaszcz, pocerowany, wystrzępiony, z żółtymi i zielonymi łatami. Wreszcie, głowę zdobiła peruka z przedziwa, a przynajmniej coś, co rościło sobie pretensję do udawania peruki, a w rzeczywistości było bezkształtną masą konopi, *rudis indigestaque moles*²².

To był Cogolin, ale w jakże smutnym stanie...! Jaki był wychudły, wynędzniały, zmizеровany i nieszczęśliwy!

Straciwszy swoją perukę w rozróbie na ulicy des Singes, Cogolin sam wykonał sobie inną z kawałków sznurów, które rozplątał i jako tako uczesał. Jego spiczasty nos się wydłużał, a oczy straszliwie zezowały w chwili, kiedy przechodził koło jakiegoś straganu z pieczonymi mięsami. Zdarzało mu się nawet zatrzymywać przed stosami złotawobrazowych pulard, ale wówczas jego oczy nabierały takiego blasku, tak groźnie i głośno pociągał nosem, że natychmiast pojawiał się sprzedawca pieczeni i stawał na warcie przed swymi kurczętami, mrucząc:

– Powiem ci, człowieku o sznurkowych włosach, że te zwierzęta nic ci nie zrobiły!

– Ale ja chciałbym im coś zrobić... – mówił Cogolin żalonym głosem.

– Idź, idź, one nie są dla twego nosa!

– O, przepraszam – zaprzeczał Cogolin, który lubił logicznie myśleć – one na pewno są dla mego nosa, skoro wdycham ich cudowną woń. Na nieszczęście są tylko dla mego nosa.

²¹ Claude d’Esternod (1592-1640) – francuski poeta, autor m.in. *L’Espadon satirique*.

²² *Rudis indigestaque moles* (łac.) – bezkształtna masa, chaos; Owidiusz, *Metamorfozy*.

I Cogolin z jeszcze bardziej wciągniętym brzuchem, bardziej błędnym spojrzeniem odchodził, ciągnąc po ziemi mnisi sandały i rajtarski but, wystawiając grzbiet na deszcz i szepcząc:

– Och, biedny Laguigne! Teraz podobny do Łazarza czy też Joba²³, daję swoim współczesnym obraz dwóch dostojnych nieboszczyków, zmarłych z głodu. Kim ja jestem, jeśli nie rodzajem nieboszczyka, który jeszcze spaceruje, rodzajem szkieletu, któremu można by policzyć wszystkie żebra, gdybym przez wstydlivość nie ukrywał przed paryżanami mojej niedoli pod tym płaszczem? Jeśli chodzi o mnie, to mógłbym pozbyć się płaszcza, bo przecież jestem tylko cieniem! Ach, kawalerze de Capestang, który zamierzałeś mnie udusić za to, że nie chciałem nazywać się Lachance! Tym razem byłbyś zmuszony przyznać, że jestem już tylko widmem Laguigne'a. Na szczęście dla ciebie nie zobaczysz, w jak smutnym stanie jest twój giermek, bowiem już nie żyjesz, biedny rycerzu de Capestang...!

Powiedziawszy to, Cogolin dwa razy zapłakał – raz za siebie, a drugi za rycerza, jak twierdził. Potem, idąc tam, gdzie oczy poniosą, poruszany tą nieokreśloną falą nadziei znalezienia jakiegoś złego lub dobrego kaska, którym mógłby się pożywić, przepychając w głowie myśli, jakie nasuwają się tym, którzy nie mają schronienia i nie wiedzą, czy i kiedy cokolwiek zjedzą, przeszedł przez Sekwanę, poszedł ulicą des Arcis i w końcu znalazł się na ulicy Saint-Martin.

Szedł ponury, z nosem zwieszonym na kwintę, zablocony, zmoknięty, ociekający wodą, nie mając nawet odwagi wciągać zapachy pieczonych mięs, nie śmiać już chronić się pod daszkami, gdy nagle uderzył głową w plecy jakiegoś mieszczanina.

– Niech dżuma zadusi tego łajdaka! – warknął mieszczanin.

– Proszę mi wybaczyć, panie, nie zauważyłem... – wyjąkał Cogolin.

– Nie widzisz, że nie można tędy przejść? Jest dość miejsca na ulicy! Gdzie, do diabła, trzymasz swoje oczy, kiedy idziesz? Może w kieszeni?

Lecz Cogolin już go nie słuchał, a te oczy, które, jak mu zarzucono, schował do kieszeni, teraz z zaskoczenia otworzył szeroko. Jego osłupiałe spojrzenie spoczęło na czymś, co musiało wydawać się mu niesamowite.

– Ho! Ho! – mruczał. – Co to znaczy...?

Cała ulica była zatłoczona. Po jej lewej stronie stało wiele powozów, a resztę jezdni zajmował tłum gapiów z głowami zadartymi w górę.

Z prawej strony ulicy przed obszernym sklepem ustawiona była estrada, a na niej dwóch ludzi rzucało się, gestykulowało i przemawiało do tłumu, co chwila wybuchającego śmiechem. Na tym podniesieniu, nieco podobnym do tych, wystawianych przed budami, na których współcześni handlarze zachwalają towar, stały trzy obrazy: pośrodku jeden olbrzymi, a po jego bokach, na prawo i na lewo dwa inne, o dużo mniejszych rozmiarach.

Obraz z lewej strony przedstawiał damę w dworskim stroju, zupełnie łysą. Poniżej niego na wywieszce widniał krótki napis: „PRZED!”.

Na drugim płótnie z prawej strony występowała ta sama dama w tym samym stroju, ale z gęstymi włosami, sięgającymi do pięt. Poniżej napis, prosty w swej wymowie, głosił: „PO!”.

Cogolin przenosił swoje spojrzenie od „przed” do „po”, od obrazu z lewej strony do obrazu z prawej, od łysej damy do damy z długimi włosami. Potem wytrzeszczone z zaskoczenia oczy skierował na wielki środkowy obraz i cały zadrżał, poruszając aż najbardziej niewrażliwe nerwy swego długiego ciała....

²³ Job (Hiob) – bohater biblijnej Księgi Hioba, człowiek bogaty i szczęśliwy, pozbawiony całego mienia przez Boga, chcącego wypróbować jego pobożność; ponownie odzyskuje majątek i zdrowie.

Na trzecim obrazie, namalowanym jaskrawymi barwami, przedstawiono boginię, czy też cudowną wróżkę albo coś pośredniego między nimi obiema. Powyżej tej wróżki, czy też może nimfy, która uśmiechając się, końcami palców jakby podawała słoik maści zebranym, widniały napisane ogromnymi literami te słowa, które wprawiły Cogolina w osłupienie i wzbudziły niejasną nadzieję:

SŁAWNA CATCHRESIS

„Catchresis...! – krzyczał w myślach Cogolin. – Rany boskie...! Do kroćset...! Catchresis...! Ja nie śnię! Widzę to wyraźnie! Na rogi szatana! To na pewno Catchresis...! Uszczypnąłbym się, żeby stwierdzić, czy to jest prawda, ale nie mogę, gdyż mam tylko kości, a na nich trochę skóry...”

Jego spojrzenie ześlizgnęło się wówczas szybko ze sławnej i uśmiechniętej Catchresis i spoczęło na dwóch ludziach znajdujących się na estradzie.

Nagle jakby osłabł z radości, wydał z siebie okrzyk zdumienia, usta pękły mu w szeroki uśmiechu od ucha do ucha, a z oczu polały się łzy...

– Lureau! – szepnął zduszonym głosem. – Mistrz Lureau...!

Rzeczywiście, jedną z tych dwóch osób nie był nikt inny, jak dawny właściciel oberży „Pod Henrykiem Wielkim”. To Lureau pod szyldem „Catchresis” sprzedawał maść, którą Cogolin, by wyrwać od niego kilka pistoli i kilka kurczaków, którym towarzyszyły szynki i pasztety, zachwalał mu jako niezawodny środek na odzyskanie włosów! Oszukany Lureau, teraz sam się bogacił, oszukując ludność Paryża! Lureau posiadał najbardziej uczęszczany sklepik przy ulicy Saint-Martin! Lureau, z czaszką ozdobioną wspaniałą peruką, która, jak przysięgał, była naturalnymi włosami, sprzedawał bez wythchnienia i nieustannie słoiczki wypełnione wołowym tłuszczem zmieszonym z sadzami! Przed sklepikiem tłoczyli się starzy i młodzi, rzemieślnicy, mieszczenie i szlachcice!

Cogolin nie posiadał się z radości.

W tej chwili mistrz Lureau, machając długą laseczką trzymaną w ręku, wykrzykiwał:

– Tabarin! Chodź tu, Tabarin²⁴...!

Człowiek, który na estradzie przy Lureau robił tysiące śmiesznych grymasów, był wielkim chłopiskiem, ubranym mniej więcej tak, jak współczesne nam popychadła z jarmarcznych teatrzyków. Lureau, przeciwnie, z bogatym złotym łańcuchem okręconym wokół szyi, ubrany był w strój i kapelusz poważnego doktora.

Musimy dodać, że w kącie estrady siedzieli muzykanci ukryci za jednym z obrazów, którzy chwilami wprost szaleli na swych instrumentach. Jeden grał na skrzypcach, dwóch na fletach i jeden na tamburynie.

Ten, którego Lureau nazywał Tabarinem, zbliżył się, robiąc różne grymasy, przybierając najgłupsze pozy, robiąc młynce swoim drewnianym pałaszem arlekina.

– Mistrzu Lureau – zawołał – ty, który jesteś tak uczony, mógłbyś mi powiedzieć, którzy z paryżan są najgrzeczniejsi?

– Bufon! Łajza! Czy dlatego cię wzywałem?

– Jednak odpowiedz, mój mistrzu!

– A więc, oczywiście, najgrzeczniejsi są ci, którzy spotykając nas, zdejmują kapelusze!

²⁴ Osobnik, który szybko zyskał opinię dobrego zabawiacza; najpierw służył u pewnego szarlatana o nazwisku Mondor, a później występował na scenie urządzonej własnym kosztem, zbudowanej na moście Pont-Neuf; czytelnik ma tu okazję obserwować początki kariery wielkiego Tabarina [przypis M. Zévaco]; *Tabarin* (fr. błazen, przewzisko Antoine’a Girarda, 1584-1626) – francuski magik, iluzjonista, aktor jarmarcznego teatru.

– Ho! Ho! To nazywa pan kurtuazją? Najbardziej uprzejmi są złodzieje, skoro nie tylko ściągają nam kapelusz, ale jeszcze zabierają płaszcz!

W tamtych czasach było łatwiej żartować w ten sposób niż dzisiaj, bowiem publika wybuchnęła gromkim śmiechem. Zachęcony tym Tabarin mówił dalej:

– Powiedz mi, mój mistrzu, kim wolałbyś być: osłem czy koniem?

– Impertynent! Łobuz...! Gdybym miał wybierać, wolałbym być koniem.

– A ja osłem, mój mistrzu!

– Dlaczego, Tabarinie? Wyjaśnij to.

– Ponieważ konie męczą się, biegając bez wynagrodzenia, podczas gdy wielkie pieniądze przyznawane są osłom.

Owa polityczna, chociaż całkiem niewinna satyra wywołała eksplozję braw i śmiechu. Później Tabarin zadawał panu Lureau różne pytania w tym samym rodzaju²⁵.

Cogolin bardzo uważnie przysłuchiwał się temu dialogowi, niecierpliwie czekając na dalszy ciąg i zakończenie.

W tej chwili ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił głowę i zobaczył w głębi okazałego powozu młodą kobietę ołsniewającą pięknosci, która z dziwnym zainteresowaniem zdawała się przypatrywać imć panu Lureau.

„Patrzcie! – pomyślał Cogolin. – Piękna dama, która w hotelu »Pod Trzema Monarchami« dała mi dziewięć pistoli, a następnie złożyła wizytę biednemu kawalerowi de Capeatang w oberży »Pod Henrykiem Wielkim«!”

Była to rzeczywiście Marion Delorme... Jednak jeżeli zatrzymała swój powóz przy estradzie postawionej przed sklepem o godle „Catachresis”, to nie po to, by zdobyć maść na włosy, gdyż miała je bardzo piękne, ani też po to, by śmiać się z żartów Tabarina, na które ledwie zwracała uwagę.

Cóż zatem chciała?

Może Marion Delorme rozpoznała pod dawniej świetnym strojem szarlatana oberżystę z ulicy Vaugirard? Czy pytając tego człowieka, chciała spróbować się dowiedzieć, co się stało z kawalerem de Capeatang? Być może!

W każdym razie to nie ona dotknęła ramienia Cogolina, lecz lokaj w ozdobionej galonami szamerowanej liberii, który majestatycznie siedząc w tyle powozu, pochylił się i rzekł do niego:

– Chyba się nie mylę... Widzę przed sobą pana Cogolina...?

Giermek natychmiast poznał okrągłą, czerwoną twarz, jak również ogromny brzuch służącego Cinq-Marsa.

– Pan de Lanterne! – zawołał, składając niski ukłon i dodał w myślach: „Chyba Niebo mi go zsyła!”

Lanterne nieco poczerwieniał, ale się uśmiechnął. Cogolin zobaczył ten uśmiech i sprytnie wywnioskował, że chociaż Lanterne nie całkiem zapomniał lekcję o lisie i kruku, jego próżność ciągle poszukiwała rozkosznej woni kadzidła, którą upijał się przed tą nauką. Tak pijak zapomina o bólu, jaki wywołuje jego namiętność, jak tylko zobaczy przed sobą butelkę. Mimo wszystko Lanterne także pragnął zemsty.

– Cóż to? – zapytał z lekceważącą miną. – Poruszasz się piechotą, panie Cogolin?

²⁵ Przykłady dialogu, jakie tu przedstawiliśmy, można odnaleźć w *Zbiorze generalnym dzieł i fantazji Tabarina*, wydanym w 1620 roku, mającym sześć późniejszych edycji [przypis M. Zévaco].

– Niestety, tak, panie de Lanterne, jestem zmuszony iść *pedetentim*²⁶, jak mawiał mój były szef, pedagog, podczas gdy tobie, do cholery, potrzebna jest karetka!

– Cóż to! – ciągnął Lanterne z szyderczym naciskiem. – Czy to ty, którego widzę w tak nędznym ubiorze, odzianego w łachmany jak jakiś żebrak z targowiska na Saint-Laurent, i tak chudego, tak wychudzonego...

– Żeby cię widać przez moje ciało, gdyż tak błyszczysz!

– Zgadza się. A te stopy! Na jednej jest but, a na drugiej sandał!

– Bo jestem niezdecydowany, czy mam poświęcić się religii, czy mam zostać żołnierzem!

– I w płaszczu pełnym dziur...

– Poprzez które dostaje się wiatr, niedola i deszcz, podczas gdy ty nosisz dobre sukno bogato ozdobione galonami, przez co mnie można wziąć za mocno nadgryziony księżyc, a ciebie za słońce!

– Zgoda. A skąd wzięła się taka straszna mizéria, panie Cogolin?

– Już tłumaczę, panie de Lanterne. Mam w swoim mieszkaniu siedem kompletnych ubiorów, zupełnie nowych i dzięki Bogu, także naszytych galonami... siedem kapeluszy... siedem par butów...

– Ho! Ho! A dlaczego siedem? – zapytał Lanterne, wybałuszając oczy.

– Jeden na każdy dzień tygodnia, rozumiesz? Ale ślubowałem, że będę chodził nędznie przyodziany, jak mnie pan widzi, przez siedemdziesiąt dni, na znak żałoby.

– Ach! Po kim nosisz żałobę, panie Cogolin? Może po swej matce?

– Niestety! – odparł giermek z grymasem szczerzego bólu. – Straciłem tego, który mi zastępował ojca, brata, kuzyna, przyjaciela, tego, który był dla mnie wszystkim i bez którego jestem nikiem! Straciłem mego biednego pana!

– Co...! Kawalera de Capeatang?

– Pan de Capeatang nie żyje od miesiąca! – odparł Cogolin ponurym głosem.

– Żałuję cię, panie Cogolin, nie masz szczęścia.

– Laguigne! Nazywaj mnie Laguigne! Tak postanowiłem się nazywać przez cały czas żałoby.

Kamerdyner Cinq-Marsa chciał protestować, ale w tej chwili delikatna rączka, okryta jedwabną rękawiczką, chwyciła Cogolina za ramię i w oknie karety ukazała się Marion Delorme. Jej piękne oblicze, bardzo blade, wyrażało przerażenie. Cała drżała konwulsyjnie.

– Co ty mówisz?! – wyjąkała. – Kto ci to powiedział, że kawaler de Capeatang nie żyje...?!

– To znaczy... pani... nie jestem tego zupełnie pewny! – odparł Cogolin, wzruszony widokiem żalu młodej kobiety. – Powiedziałem tylko, że straciłem mego biednego pana!

– Umarł! – szeptała Marion Delorme z rozpaczą. – Widzę to dobrze, ty płaczesz...! On nie żyje! Nie żyje...!

I padając w głąb powozu, młoda dziewczyna wybuchnęła głośnym łkaniem.

– Pani, ależ przysięgam, że nie jestem tego pewny! – powtórzył stanowczo Cogolin.

– Dlaczego więc płaczesz...? Mów, ale mów szybko! Co się stało...?. Masz, trzymaj tę sakiewkę i nic przede mną nie ukrywaj...!

Cogolin, który od poprzedniego dnia niczego nie miał w ustach, który drżał z zimna i od deszczu, który szczykał zębami, okazał prawdziwą bezinteresowność.

²⁶ *Pedetentim* (łac.) – krok za krokiem, powoli.



Wziął do ręki sakiewkę i odrzucił na poduszki karety.

– Pani, nie będą mogli powiedzieć, że wyzyskałem moją i twoją boleść – oświadczył – i że zarobię pieniądze na nieszczęściu, jakie niespodziewanie przytrafiło się memu panu!

– Ach! – szepnęła przejęta Marion. – Dobrze widać, kto ci dawał lekcje... Ale powiedz, błagam, i nie pomijaj żadnego szczegółu... Muszę o wszystkim wiedzieć...

Cogolin opowiedział szybko, ale wiernie o wszystkim, co zobaczył: oberżę obstawioną przez ludzi Conciniego, pożar wzniecony przez Laffemasa, wyjście kawalera de Capeatang,

heroiczną walkę, pokryte ranami ciało rycerza rzuconego w poprzek konia i zawieszone do pałacu marszałka...

Marion Delorme słuchała opowiadania z uwagą, z oczami powiększonymi przerażeniem. Zaledwie Cogolin skończył, wychyliła się i krzyknęła do woźnicy:

– Prędko! Do pałacu...!

Powóz zawrócił i popędził w kierunku ulicy de la Tissanderie, dotarł do ulicy Saint-Antoine i zatrzymał się przed pałacem markiza de Cinq-Mars. Marion Delorme, wysiadłszy, pobiegła do swego pokoju. Co miała zrobić, co chciała zrobić, sama dokładnie jeszcze nie wiedziała. Przeżywała jedną z tych strasznych chwil, które zostawiają ślad na całe życie. Po twarzy spływały jej wielkie łzy, których nie zamierzała obcierać i nie usiłowała ukrywać przed kręcącą się po pokoju służącą – łzy drogocenne, wyciskane prosto z serca i odkupujące wiele grzechów, jak niegdyś łzy Magdaleny.

Usiadłszy, na ćwiartce papieru gorączkowo skreśliła kilka słów.

Uprowadzam cię lojalnie, iż niekiedy przyjdzie mi do głowy kaprys i będę chciała na kilka chwil odzyskać zupełną swobodę. Opuszczam cię, kochany przyjacielu, być może tylko na jeden dzień, być może na bardzo długo. Cokolwiek się zdarzy, bądź spokojny; przysięgam, że jeśli chodzi o wierność, to nie będziesz miał mi nic do zarzucenia. Nie dochodź, gdzie się udaję i co zamysłam czynić, lecz zaufaj mi, że będąc blisko lub daleko od ciebie, Marion Delorme jest dość dumna, by umiała szanować przyjęte zobowiązania.

Zegnaj cię, mój drogi, niezadługo się zobaczymy lub też nigdy!

Zapieczętowała list, zawołała Lanterne'a i podając mu go, rzekła:

– Dla pana de Cinq-Mars, gdy powróci. A teraz, panie Lanterne, zapamiętaj, co ci powiem: jeżeli jednym słowem wspomnisz o naszym spotkaniu na ulicy Saint-Martin, natychmiast cię wypędzę. Jeśli powiesz, że widziałeś mnie płaczącą, każę cię obić kijami. Jeśli spróbujesz mnie śledzić i szpiegować, każę cię zasztyletować. Teraz ruszaj!

Lanterne z twarzą zmienioną przez strach, wyciągnął rękę po list, chwycił go i mimo potężnego brzucha zniknął z szybkością ściganego jelenia. Dopiero wówczas poczuł się bezpieczny, gdy zamknął się na kłódkę w swoim pokoiku, znajdującym się na poddaszu pałacu.

Przez ten czas Marion Delorme zbierała złoto oraz klejnoty i wkładała je do skórzanej torebki, którą oddała pokojówce.

– Chodź za mną, Annette! – rozkazała.

– Pani, gdzie się udajemy? – spytała służąca.

– Na kilku dni wracam do mego dawnego mieszkania w hotelu „Pod Trzema Monarchami”... naprzeciw pałacu Conciniego! – odparła Marion Delorme.

Tymczasem Cogolin przez chwilę śledził wzrokiem odjeżdżający powóz, pokiwał, ciężko westchnął z bólu, a może z żalu po sakiewce, której wzięcia odmówił – tego dokładnie nie wiemy. Zapewne odmówiłby jeszcze raz, ale był zbyt nieszczęśliwy i złamany, żeby tego trochę nie żałować.

Zaraz jednak zwrócił spojrzenie na wzniesione rusztowanie w chwili, kiedy nowy żart Tabarina wywołał w nadal zwartym tłumie wielki śmiech i brawa. Kiedy po chwili wrzawa ucichła, Tabarin zawołał:

– Teraz, mój mistrzu, nieco poważniejsza kwestia, jak sądzę. Powiedz mi, dlaczego są w Paryżu ludzie, którzy tracą włosy lub je stracili, a nie spieszą się, by je odzyskać?

– Och, jestem w domu! – mruknął Cogolin.

– Doprawdy, tego nie wiem – odparł Lureau, udając zakłopotanie. – A ty wiesz, hultaju?

– Ależ tak, wiem! – odparł Tabarin. – To dlatego, mój mistrzu, że ci ludzie są na tyle głupi, że nie wiedzą o jednej rzeczy, o której wie cały wszechświat! – Cogolin jeszcze bardziej nastawił uszu, a Tabarin kontynuował. – A ta niewiarygodna rzecz, ale prawdziwa, cudowna, zadziwiająca, to jest sławna Catachresis, tu obecna. – Tabarin uderzył pałaszem w wielki centralny obraz. – Ta czarodziejka, żyjąca niegdyś w Babilonie, ponieważ miała za zadanie utrzymywać w dobrym stanie włosy Bereniki²⁷, wynalazła maść sprawiającą, że włosy mogły wyrosnąć nawet na dyni!

Publiczność wybuchnęła głośnym śmiechem. Lureau skłonił się z powagą i rzekł:

– Szlachetne damy i szlachetni panowie, którzy mnie tu słuchacie, czasami i głupiec może zostać mędrce. Ten łajdak Tabarin powiedział wam prawdę. – W tej chwili uderzył laseczką w obraz po lewej stronie. – Tutaj pokazuję wam wysoko urodzoną i potężną księżnę de Mirliflor²⁸, hiszpańską damę, która towarzyszyła Jej Królewskiej Mości przy jej zaślubinach z naszym Najjaśniejszym Panem Ludwikiem XIII, niech Bóg ma go w opiece! Jak każdy może się o tym przekonać, ta szlachetna księżna była łysa, gdyż straciła włosy na skutek silnego wzruszenia. Ten obraz przedstawia ją przed użyciem cudownej maści, wymyślonej przez znakomitą czarodziejkę Catachresis, tu obecną. Czy jest tu ktoś, kto zechce zakwestionować, że ta nieszczęsna dama jest całkowicie łysa?

Tłum gwałtownie zaprzeczył.

– Teraz – kontynuował Lureau, uderzając laseczką obraz po prawej stronie – oto ta sama księżna Mirliflor po tym, jak jej natarto głowę maścią wspaniałej Catachresis! Każdy może to zobaczyć, a nawet tego dotknąć! Oto portret owej szlachetnej damy. Jej włosy są tak gęste, tak długie, że mogła cała się nimi owinać jak płaszczem! – Liczne i wyraźne oznaki podziwu przebiegły przez tłum. – Lecz, powiecie mi, czy ty, który to mówisz, możesz wskazać nam miejsce, gdzie znajduje się owa cudowna maść? Odpowiadam: Tak, panowie! I to miejsce nie znajduje się ani w Chinach, ani w Berberii²⁹, ani w Poncie³⁰, ani w Babilonii... lecz w Paryżu! Tak, na ulicy Saint-Martin! Właśnie w tym sklepiu, który przez wdzięczność i szacunek ozdobiłem godłem Catachresis! – Tłum wyraził jednomyślne zadowolenie. – Ale, zapytacie mnie jeszcze, jak to się stało, że ty, który nam o tym mówisz, odnalazłeś sekret wytwarzania tej wspaniałej maści? Czy jesteś więc uczonym? Tak, panowie, jestem uczonym, a Tabarin

²⁷ *Berenika II* (ok. 258-220 roku p.n.e.) – żona i współregentka Ptolemeusza III Euregesta, króla Egiptu (ok. 247-222); zamordowana wkrótce po śmierci męża; czczono ją jako patronkę wonnych olejów; według legendy jej warkocz złożony w ofierze Afrodycie został przeniesiony między gwiazdy (gwiazdozbiór Warkocz Bereniki); bohaterka *Warkocza Bereniki* Kallimacha.

²⁸ *Mirliflor, mirliflore* (fr.) – modnisią, elegantką.

²⁹ *Berberia* (Barbaria) – termin używany przez Europejczyków od XVI do XIX wieku w odniesieniu do krajów Maghrebu, czyli środkowych i zachodnich nadmorskich regionów Afryki Północnej – dzisiejsze Maroko, Algieria, Tunezja i Libia; nazwa pochodzi od koczowniczego plemienia Berberów, pierwotnych gospodarzy tych ziem; pojęcie to kojarzyło się z piratami berberyjskimi, których ostoją były porty tegoż wybrzeża i skąd atakowali statki i osady nadmorskie Morza Śródziemnego oraz północnego i środkowego Atlantyku.

³⁰ *Pont* – starożytna kraina w północno-wschodniej Azji Mniejszej, nadmorska część Kapadocji; na terenach Pontu powstało w końcu IV wieku p.n.e. niepodległe państwo, założone przez Mitrydatesa I Ktistes; starcie z ekspansjonistycznie nastawionym Rzymem skończyło się klęską Pontu, który został opanowany w 63 roku p.n.e. i wraz z Bitynią zamieniony w prowincję rzymską.

może to zaświadczyć! Jednak także jestem skromny! I chociaż dużo mnie to kosztuje, to jednak przyznaję i ogłaszam: to nie ja odkryłem ten sekret! – Generalne rozczulenie nad tym dowodem skromności i uczciwości. – Ten, który odszukał ten sekret, panowie, którego imię każdego dnia błogosławię, i które wyjawię – Cogolin nastawił uszu – wreszcie ten, któremu cierpiąca ludność wdzięczna jest za to cudowne odkrycie, znakomity uczony, nobliwy starzec, który trzykrotnie objechał świat, to wielki, święty, sławny pan Cogolin...!

Lureau zdjął kapelusz, przez tłum przebiegł długi szmer. Cogolin stał skamieniały z rozdziawioną gębą, powalony z osłupienia.

– Ten sekret – mówił dalej Lureau, powstrzymując gestem wściekłą muzykę – ten sekret odkupiłem od znakomitego Cogolina za znaczną sumę pieniędzy; włożyłem w to cały mój majątek. Gdyby tu był, mógłby to poświadczyć.

– Ejże, cały swój majątek! – szepnęła Cogolin, a Lureau kontynuował:

– Zapłaciłem mu pięćdziesiąt tysięcy talarów...!

Pomruk podziwu przemknął przez tłum, zaś wzburzony Cogolin wybełkotał:

– To nieprawda! Dał mi zaledwie kilka nędznych pistoli!

– Ale powiecie mi jeszcze, że ty, który to mówisz, skoro za sekret Cogolina i Catachresis zapłaciłeś pięćdziesiąt tysięcy talarów, dobrze wiesz, że nie jesteśmy dość bogaci, by kupić tę maść, która jest straszliwie droga! Tak, panowie, ta maść jest straszliwie droga! Jednak uspokójcie się. Na skutek ślubowania, jakie uczyniłem w dniu, w którym na głowie odrosły mi włosy, ja nie sprzedaję maści Catachresis – ja ją rozdaję! – Wybuchły entuzjastyczne okrzyki i brawa. – Powtarzam: ja ją rozdaję! Każdy może wziąć, ile chce! Maść nic nie kosztuje! Ani jednego denara! Ani jednego dukacka! Ani jednego miedziaka...! By zupełnie się nie zrujnować, każę sobie zapłacić tylko za słoiczek, w którym się znajduje! Jeden liwr, tylko jeden liwr! Kto nie ma jednego liwra, by kupić słoik owinięty w papier z modlitwą, którą należy wyrecytować, zapisaną złotymi literami w trzech słowach: Parallaxis! Asclepios! Catachresis! Wejdźcie do sklepiku znakomitej Catachresis! Kupujcie za nic! Za nic! Wchodźcie! Muzyka...!

Flety, wiole i tamburyny natychmiast rozpoczęły wojowniczy marsz, podczas gdy najpierw dziesięciu, a później dwudziestu, pięćdziesięciu gapiów rzuciło się do sklepiku, w którym pani Lureau sprzedawała sławne słoiki z maścią.

Tymczasem Cogolin, oszołomiony tym, co usłyszał, zdumiony tym, co widział, osłupiał na pewno nie tym, że był sławnym uczonym, Cogolin z umysłem wzburzonym zdziwieniem, podziwem, nadzieją przynajmniej na dobry posiłek, szeptał:

– Do licha! Jestem ciekaw, czy receptura, jaką przekazałem temu imbecylowi Lureau, naprawdę powoduje odrastanie włosów! Muszę tę maść wypróbować na własnej głowie...!

I przeciskając się przez tłum, posuwał się promieniejący, z ustami jak serduszek, ku Lureau... który nagle go dostrzegł!

Mistrz Lureau zbłdził! Lureau ogarnęły strach i wściekłość! Lureau warczał przez zęby:

– Och, przychodzisz mnie zadenuncjować! Ach, chcesz przeszkodzić mi we wzbogaceniu się! Poczekaj! Już ja ci pokażę, gdzie raki zimują!



Rozdział XXXVII

Przemawiają gwiazdy

W tym samym dniu, kiedy opisane wyżej wydarzenia rozgrywały się na ulicy Saint-Martin, Leonora Galigai około ósmej wieczorem siedziała w swoim pokoju naprzeciwko męża. Dzielił ich mały stoliczek wykonany z drewna, cały inkrustowany srebrem. Na stoliku stał świecznik, jako jedyny oświetlający przestronną komnatę. Wytworny pokój zatopiony był w półmroku. Olbrzymie łoże o spiralnych kolumnienkach, z których opadała kotara z kosztownej jedwabnej materii, bogato rzeźbione kufry, fotele o wysokich oparciach wykonanych z pełnego drewna przez genialnych rzemieślników, obrazy w złotych ramach, marmurowe posągi, masywne srebrne kandelabry, wszystkie wspaniałe przedmioty znamionujące upodobanie do zbytku okryte były wieczornym mrokiem. Jedynie oba oblicza: Conciniego i Leonory, na które padało jasne światło, ukazywały się jak reliefy na ciemnym tle, jak to widać na niektórych płótnach Rembrandta³¹. Te dwie blade twarze, niby skamieniałe z wysiłku wyętej uwagi, przypominały marmurowe posągi widywane na grobowych kryptach. Rozmawiali ze sobą, ale było widać, że zaledwie poruszają ustami. Co do ich głosów, to musiały być bardzo przyciszone, prawie równające się ciszy, delikatne jak szmer skrzydeł nocnych ciem, niczym głos widm, jeśli widma mówią.

Siedzieli więc jedno przed drugim, oparci łokciami o stoliczek, nieruchomi, pozornie niewrażliwi, życiem skupionym w krzyżujących się nawzajem wejrzeniach, że tak powiem splecionych, mających w sobie coś niezwykłego, złowrogiego, mogącego w widzu budzić przerażenie, gdyby ktoś był świadkiem tej sceny. Oczy Concino Conciniego wyrażały posuniętą do ostateczności nienawiść, w źrenicach Leonory malowała się miłość w stopniu najwyższej egzaltacji. Marszałek nie widział tkliwego uczucia, promieniającego z oblicza żony, Leonora nie dostrzegała nieubłaganej zaciętości wyzierającej z twarzy męża. Włoch marzył o zabiciu Leonory. Ona rozważała, że wolałaby raczej stracić małżonka, niż wyrzec się jego miłości. Te dwie namiętności szalone, dzikie, popchnięte do miejsca, w którym ludzka namiętność osiąga granic człowieczeństwa, dochodząc różnymi drogami do tego samego skrzyżowania, na którym niewrażliwa śmierć czeka tylko na to, co się wydarzy. Te dwie postaci tworzyły płomienny i straszny, ponury obraz.

Oto o czym rozmawiali:

– Chciałaś ze mną porozmawiać, Leonoro. Od trzech dni odmawiałem twemu żądaniu. Od miesiąca postępuję tak, by się z tobą nie widywać, nie będąc pewnym, czy przy spotkaniu nie uduszę cię własnymi rękoma. Dziś sądzę, że bardziej panuję nad sobą, ale na wszelki wypadek przybyłem bez broni. Leonoro, gdybym miał u pasa sztylet, to myślę, że byłbym cię zabił...

Leonora pokiwała smutno głową. Jej serce wypełniała straszliwa gorycz. Słuchając tych słów wypowiedzianych przez jedyną istotę, którą w życiu kochała, nieomal pragnęła spełnienia tych grózb, jednak powstrzymała szloch.

– Leonoro, czy nie zadawałaś sobie pytania – mówił dalej Concini – co się stało z dwoma zbirami, których wysłałaś na ulicę des Barrés owej nocy, kiedy aresztowałem księcia d'Angoulême i miałem dostać Gisellę w swoje ręce – dodał z bolesnym westchnieniem. –

³¹ Rembrandt van Rijn (1606-1669) – holenderski malarz, jeden z najwybitniejszych twórców w dziejach sztuki.

Nicponie wiernie ci służyli, Leonoro, ale co się z nimi stało? Gdzie się podziewa Lux i Brain? Zapytaj o to Sekwany, może ona ci powie, gdzie poniosła okrwawione trupy...

Ani jedno, ani drugie nie poruszyło się. Twarze ich prawie się dotykały... Concini zgrzytał zębami.

– Zmusiłaś mnie do przyjscia tutaj – ciągnął. – czego ode mnie chcesz...? Słuchaj, Leonoro, najpierw zabrałaś mi Gisellę, a ona jest wszystkim, co kocham! Następnie odebrałaś Capestanga, to znaczy wszystko to, czego nienawidzę. Zatem postąpiłaś jak mój śmiertelny wróg. Wiesz, czym jest nasze małżeństwo: spółką zawiązaną w celu zdobycia fortuny i władzy. Formalnie ustaliliśmy, że między nami nie będzie mowy o miłości ciebie do mnie i mnie do ciebie. Zostało postanowione, że zachowamy zupełną swobodę działania. Nigdy nie niepokoiłem się tym, czy masz kochanka, prawda? Wolno ci wychodzić, wracać, w dzień i w nocy, kiedy ci się podoba. Czy choć raz zażądałem, byś się przede mną wytłumaczyła...? Dlaczego domagasz się tego ode mnie...? Nie żywiłem do ciebie nienawiści, przeciwnie, podziwiałem twój rozum, hart ducha, polegałem na twojej ambicji, mającej ułatwić moje wywyższenie. Pociągnięty do zawrotnego lotu siłą twoich potężnych skrzydeł, byłem pewny, że dojdę do szczytu potęgi... Dlaczego mnie pokochałaś?

Spojrzał na nią ostro oczami, które z powodu napływu krwi pokryły się czerwonymi żyłkami. Ona, sztywna, podobna do marmurowego posągu, słuchała głosu ukochanego, uwielbianego człowieka, mówiącego, że kocha inną, że jej nigdy nie kochał! Nigdy!

Tylko dwie łzy potoczyły się po jej bladych policzkach... Spłynęły cicho i spadły na stół; potem wypłynęły dwie kolejne, później następne, bez przerwy... bez drżenia... Leonora płakała...

– Co zrobiłaś z Gisellą? – wypytywał Concini po chwili krótkiego milczenia, która dla obojga wydawała się wiekiem. – Miłuję tę dziewczynę. Kocham ją. Przeczuję, zgaduję, wiem, że jej nie zabiłaś, że ją gdzieś trzymasz, nie wiem dlaczego... Przysięgałaś, że znowu ją zobaczę. Gdzie? Kiedy? Czy to ta chwila? Powiedz. Leonoro! Czy w tym celu wezwałaś mnie do siebie...? Ach, przeklęta, przeklęta! Widzisz, jak cierpię, widzisz, że prawie już nie żyję, widzisz, że ta szalona namiętność powoli mnie zjada i zabija, doprowadza do obłędu! Wiesz o moich bezsennych nocach, strasznych nocach pełnych szlochów, bo przychodzisz podsłuchiwać pod drzwiami mojej sypialni. To wszystko wiesz, Leonoro, duchu zazdrości, i nie litujesz się! Właśnie to stanowi twoją siłę! Wiesz, że nie mogę cię zabić, dopóki ją trzymasz w swej mocy...

Teraz Concini wstrząsnęło łkaniem.

Wówczas, głosem cichym jak tchnienie, Leonora szepnęła:

– Concino, ty ją jeszcze zobaczysz.

Marszałek drgnął, długo wpatrywał się w oblicze żony, po którym spływały ciche łzy.

Potrząsnął przecząco głową.

– Przysięgam, że ponownie ją zobaczysz – powtórzyła Leonora Galigai.

– Kiedy? – wykrztusił Concini.

– Za trzy dni.

– Gdzie...?

– Tu! – oświadczyła Leonora. – Za trzy dni również zobaczysz kawalera de Capestang.

– Trzy dni! Jeszcze trzy dni! – warknął Włoch, kryjąc twarz w dłoniach. – Widzę jednak, że jest szczerza, że mnie nie oszukuje. Dzisiaj stanowczo wskazała miejsce i datę. Trzy dni! – dodał z rodzajem dzikiego uniesienia. – Jeszcze trzy dni, nim zadowolę moją miłość, moją

nienawiść, wszystko, co stanowi treść mego życia... Kto wie, czy będę miał siłę czekać tak długo! Kto wie, czy wcześniej się nie zabiję!

Umilkł zdyszany.

Przez miesiąc Concini bardzo się zmienił. Był tylko cieniem samego siebie, do tego stopnia, że „choroba pana marszałka” stała się tematem wszystkich pogawędek na dworze i w całym mieście. Hérouard, wysłany przez króla, który w duchu pragnął rychłej śmierci swego tyrana, nie zajął żadnego stanowiska. Richelieu, Luynes, wszyscy ci, którzy mieli interes w prędkim zgonie Włocha, każdego ranka wysyłali posłańca lub sami przychodzili pytać się o stan chorego. Pałac marszałka d'Ancre, tak niegdyś ożywiony, stał teraz milczący i mroczny. Siepacze, pozostawieni samym sobie, też z tego korzystali, rozchodząc się po Paryżu i szukając dla siebie nowego pana.

Concini umierał, trawiony wściekłością... Kolejne zniknięcie Giselli i Capestanga zadało mu jakby śmiertelny cios.

Faktycznie, Capestang w dniu, w którym porwano go do pałacu, zniknął bez śladu, tak że ani marszałek, ani żaden z tych, którzy mieli go pilnować, nie umieli ustalić, co się z nim stało.

Jedynie Leonora powiedziała do męża:

– Trzymam już w mej mocy Gisellę, a chciałam mieć również Capestanga. Gdy nadejdzie właściwa chwila, zobaczysz ich oboje.

Concini zatem był szczery w swej podwójnej namiętności: miłości i nienawiści. Był szczery, gdy z okrutną prostotą oświadczał Leonorze, że pragnął ją zabić. Szczery był również wtedy, kiedy jej powiedział, iż nie zabił jej tylko dlatego, że tylko ona wiedziała, gdzie jest Gisella i Capestang. Szczery był, gdy w rozpaczy zadawał sobie pytanie, czy będzie miał siły czekać jeszcze trzy dni, i wybuchnął łkaniem.

Tymczasem Leonora już nie płakała. Cudownym wysiłkiem woli nadała swej twarzy niemal obojętny wyraz w chwili, gdy burza namiętności wrzała w jej duszy i sercu. Spojrzała na męża z pogardliwą litością.

– Dowiedz się więc, dlaczego chciałam, byś tu przyszedł – powiedziała. – Po pierwsze Maria chce cię porzucić...

– Niech Maria Medycejska robi, co jej się podoba – odparł. – Nic mnie to nie obchodzi. Mam już dość tej obłudnej komedii, jaką przy niej odgrywam. Chcę nareszcie żyć, żyć choćby kilka dni! Ach, żyć! Żyć, nie będąc zmuszanym do uśmiechów, nie przyjmując wstrętnych pocałunków kobiety, której nienawidzę!

Były to słowa skierowane do jego żony! Concini mówił tak do swej prawowitej małżonki! To przed tą kobietą, którą nazywano marszałkową d'Ancre, głośno wyznawał swe wiarołomstwo!

Nawet nie starał się zachować konwencjonalnej maski przyzwoitości... Oboje znaleźli się w tej potwornej chwili prawdy... Tak dalecy byli od wszelkich konwenansów, że Leonory nie dziwił nadmiar jego nierozważnej szczerości. Z zupełnym spokojem zauważała:

– Zgoda, ale w takim razie, mój Concino, zostaniesz zamordowany. – Marszałek drgnął i rozejrzał się błędnym wzrokiem dookoła. – A ja, ja nie chcę, byś zginął, gdyż ja cię Kocham...! Posłuchaj, jeśli Maria cię porzuci, król zdejmie z twarzy maskę i sfera twoich nieprzyjaciół rzuci się na ciebie... i będziesz martwy. Czyż nie zdołasz kilka dni dłużej udawać miłości? Posłuchaj tego: kazałeś wznieść na ulicach Paryża ze dwadzieścia szubienic, by na nich wieszać tych, którzy się nieprzychylnie o tobie wyrażają. Codziennie ktoś na nich zwisa.

Szubienice florenckie, jak je nazywają, nałożyły kaganiec Paryżowi. Ale czy wiesz, co wczoraj zobaczyłam na jednej z tych szubienic, niedaleko stąd, na tej, którą postawiłeś wczoraj na Croix-Rouge³²? Zobaczyłam powieszony portret Concino Conciniego z takim napisem na szyi: Jego ciało na śmietnik, jego dusza na pastwę Lewiatana³³.

Po kręgosłupie marszałka przebiegł dreszcz trwogi. I to był ten sam człowiek, który szczerze sam siebie zapytywał, czy potrafi jeszcze trzy dni przeżyć bez Giselli.

„Mają mnie w rękę” – pomyślał, wycierając złane potem czoło.

– Zaczynam wzbudzać w tobie zainteresowanie? Powiedz, mój Concino? – kontynuowała Leonora z przerażającym spokojem pogromcy dzikich zwierząt. – Tak, Paryż jest już nami zmęczony. Tak, z tych okien słyszę niekiedy złowrogie krzyki i zdaje mi się wtedy, że oddycham atmosferą przesiąkłą nienawiścią. Wydaje mi się, że przed nami otwiera się czeluść, w którą oboje się stoczymy...! Jeśli Maria się znuży, jeśli usunie znad naszych głów swą opiekuńczą rękę, wszystko będzie skończone! Dworzenie nas rozerwą, lud nas rozgniecie... Może wzniosą szubienicę dla ciebie, dla mnie! – dodała Włoszka, teraz ona wstrząsana dreszczami, z czarnymi oczyma utkwionymi w ciemny punkt pokoju, jakby tam widziała jakąś krwawą wizję. – Czy już nie krąży pogłoska, że zawarłam pakt z szatanem? Że ten pakt, spisany w jego gabinecie w piekle, widziało i czytało dużo osób? Czy nie szepcze się, że używam czarów i uroków dla zdobycia władzy...? Szaleńcy! – wołała, podnosząc zaciśnięte pięści. – Jakby potrzeba było czarodziejskich sztuczek, by sięgnąć po władzę...!

Concini szczękał zębami. Przemowny strach wchodził do jego mózgu przez drzwi, jakie otworzyła przed nim Leonora. Strach pożerał mu serce. Nawet nie starał się tego ukrywać. Zapomniał o Capestangu, nawet o Giselli. Na chwilę przymknął oczy i wówczas zobaczył szubienicę wspomnianą przez Leonorę. Widział na niej nie swój portret, ale swoje ciało... Widział rozwścieczony tłum ciągnący to ciało, tak jak ciągnął trupa Coligny'ego na rusztowanie w Montfaucon.

– Nie możemy już nawet uciekać! – mówiła dalej Leonora, jak gdyby odgadując utajniowaną myśl, jaka rozbłysła w umyśle marszałka. – Już za późno, Concino, zaczęliśmy wdrapywać się na szczeble drabiny prowadzącej do władzy: albo spadniemy, albo dotrzemy do szczytu. Jeśli spadniemy, skręcimy karki, jeśli dojdziemy na szczyt, na zawsze zapanujemy nad tym motłochem wyjąłym u naszych stóp i pokazującym kły, którymi rad by nas rozszarpać...!

– Iść w górę! Wspiąć się! – szeptał stłumionym głosem Concini, ogarnięty szalem strachu, ambicji, wściekłości. – Ale jak dojść tak wysoko!? Czy Lewiatan, który ma zabrać mi duszę, nie wydaje się ochraniać młodego Ludwika...!?

– Być może! – potwierdziła Leonora z tym chłodnym, złowróżbnym uporem ludzi ulegających przywidzeniom. – Za pierwszym razem został wstrzymany rozszały koń, za drugim wywrócono czarę z trucizną...! Trzeci raz musi się nam powieść, Concino! Teraz wszystko dobrze obmyślałam i przygotowałam. Zaufaj mi i pozwól działać! Nie żądam od ciebie niczego innego, jak tylko ufności w moją miłość aż do dnia, gdy włożę na twą głowę koronę, gdy zrobisz cię królem Francji. Wtedy będziesz mógł unieważnić nasze małżeństwo przez papieża, a ja odejdę z pokorą, zadowolona z dokonanego dzieła, gotowa umierać, mówiąc sobie: mój Concino panuje i ja to sprawiłam...!

³² Croix-Rouge – skrzyżowanie ulic w dawnym Paryżu, usytuowane na początku ulicy Cherche-Midi.

³³ Lewiatan – w Starym Testamencie symboliczna nazwa demonicznego potwora morskiego (węża lub smoka o kilku głowach); personifikacja złych mocy pokonanych przez Jahwe; w legendach także uosobienie Szatana.

Te okrutne i zarazem szczytne zdania wypowiadała chłodnym, stanowczym tonem. Dokładnie je rozważała... Była straszna jak Zbrodnia i wzniosła jak Poświęcenie. Czyniła wrażenie nadludzkiej istoty, albo raczej pozostającej poza całą ludzkością.

Concini spoglądał na nią z mieszaniną trwogi i podziwu, lecz ani promyk współczucia nie zaświecił w tym przepełnionym egoizmem sercu.

– Teren został uprzątnięty – mówiła dalej Leonora. – Książę d'Angoulême w Bastylii, Kondeusz w Bastylii. Gwizdus? Zjednamy go, ofiarując mu szpadę naczelnego wodza. Powtarzam: pozwól mi działać! Gdy wybiję godzina twego przeznaczenia, dam ci znać... Nie tłumacz fałszywie moich intencji, Concino, jeśli odebrałam ci Gisellę i nędznika Capestanga, to nie dlatego, by pierwszą wydrzeć twej namiętności, a drugiego twej nienawiści. Zrobiłam tak, gdyż ciała niebieskie zabraniają ci kontaktu z tymi dwoma istotami do czasu, kiedy nie postawisz stopy na stopniach tronu, gdzie znajdziesz się ponad zwykłymi ludźmi, tak blisko Boga, że nawet gwiazdy będą musiały cię słuchać... Concino, poleciłam Lorenzo postawić horoskop Giselli i Capestanga!

Nie tylko Concini nie był zdziwiony, lecz nawet słuchał z uwagą tego, co Leonora mówiła mu o horoskopie Capestanga i Giselli d'Angoulême.

W tym miejscu musimy zrobić pewne wtrącenie, by Czytelnik, który żyje z naszymi współczesnymi niedowierzaniem, a może wierzeniem, nie oskarżył nas, że każemy interweniować astrologii, by udratyzować sytuację psychologiczną postaci, która w samej sobie jest już bardzo dramatyczna.

Wszyscy: król, książęta, biskupi, zwykły lud, wierzyli w demony, zjawy, a zwłaszcza w naukę o ciałach niebieskich. Czy kilka lat później nie spalono żywcem Urbaina Grandiera oskarżonego o podpisanie paktu z Szatanem? Czy Ludwik XIII, kiedy osiągnął dojrzały wiek, nie otoczył się wróżbitami? Czy nawet sam Richelieu nie radził się Jeana Morina³⁴, występującego w charakterze astrologa? Czy w końcu wielki La Fontaine, który chciał wiernie odtworzyć obyczaje epoki, nie był zmuszony wykrzyknąć wiele lat później:

Szarlatani, tworzący horoskopy,
Opuście dwory książąt Europy!

Czy sam diuk de Bellegarde, który w pojedynku chciał zabić Conciniego i o którym Lux i Brain opowiedzieli anegdotę, czy więc ten Bellegarde, który był wielkim łowczym, nie opowiadał księżnej de Conti³⁵, że pewien czarnoksiężnik przekazał mu sekret, jak zostać pokochanym przez Marię Medycejską i w konsekwencji usunąć marszałka d'Ancre? Czy w tym samym 1616 roku przy wiedzy całego Paryża dwaj astrologowie nie zostali porwani przez czarta? Czy w 1631 roku nie powieszono pewnego księdza, ponieważ znaleziono u niego czarnoksiężskie pergaminy? Minione wieki mają niezwykle wpływ na umysły ludzkości. Człowiek, wyuczywszy się składać pewne wyrazy, powtarza je następnie przez dalsze długie lata. W pełni dnia, nawet przy świecącym słońcu pojawiają się ciemności. Egipt i Chaldea odżyły w wiekach średnich; duch średniowieczny kołatał się jeszcze w XVII wieku! Gdybyśmy umieli czytać w myślach współczesnych nam ludzi, dopatrzylibyśmy pod lekką powłoką

³⁴ Jean-Baptiste Morin (także: Morinus, 1583-1656) – francuski matematyk, astrolog i astronom; w tych samych czasach żył także Jean Morin (Joannes Morinus, 1591-1659) – francuski teolog i biblista, którego po pobycie w Rzymie ściągnął do Francji kardynał Richelieu [może radził się obu?].

³⁵ *Księżna de Conti* – tytuł małżonki księcia de Conti; tutaj chodzi o Louise-Marguerite de Lorraine (1588-1631), żonę François de Bourbon-Conti, księcia de Conti.

nauki i sceptycyzmu pojęcia spisywane niegdyś ręką magów i ich następców. Może niektóre odruchy ludowe, niektóre zdumiewające zjawiska są ostatnimi drganiem agonii tych średniowiecznych czasów, pogrzebanych rzekomo przez historię!

Maria Medycejska wierzyła w astrologię. Leonora Galigai, umysł bystry, śmiały, obejmujący dalekie horyzonty, w swoich snach o wielkości podpięrała się przepowiedniami astrologów. Kto wie, czy skromna dama do towarzystwa królowej matki odważyłaby się wypatrywać najważniejszego celu, do którego zdążała, gdyby głos ciał niebieskich nie rozkazał jej spróbować niemożliwego? Posuńmy się aż do końca naszej myśli i powiedzmy, że Leonora Galigai, sceptyczna i niewierząca, byłaby kimś niezrozumiałym. Co do Concino Concini, to bezkrytycznie przyjmował wszystko, w co wierzono w jego czasach.

Marszałkowa kontynuowała głuchym głosem:

– Lorenzo na moje żądanie postawił horoskop Giselli i Capestanga, a to, co mi przekazał, Concino, spowodowało, że zadrażliłam ze strachu, ja, która niczego się nie boję, bo zwiastowało grożące ci nieszczęście!

Marszałek widział, że faktycznie jeszcze bardziej zbladła i wstrząsało nią szybkie, nerwowe drżenie.

– Co ci powiedział? – wydusił z siebie jednym tchem. – Co ujrzał w losie tego diabelskiego fanfarona... w przyszłości młodej dziewczyny?

Leonora pochyliła się ku Conciniemu i rzekła:

– Oto jego słowa, oto, co mówią gwiazdy. Posłuchaj! Ktokolwiek dotknie Gisellę d'Angoulême, umrze w ciągu trzech dni. Ktokolwiek zabije Adhemara de Tremazenc, kawalera de Capestang, zginie w ciągu trzech dni.

Concini zapadł się w fotelu.

– Ale w takim razie – wyjąkał oszalały z gniewu, miłości, nienawiści – ona wymknie mi się z rąk...! Muszę godzić się z myślą o własnej śmierci...!

– Zamilcz! – przerwała Leonora. – Lorenzo powiedział także coś innego.

Strasliwie cierpiała; jedną ręką tłumiła gwałtowne bicie serca, drugą ścierała krople potu z czoła bladego jak kość słoniowa... Więc Concini tak kochał tę dziewczynę, że dla niej chciał ryzykować śmiercią! Tak myślał! Tak mówił!

Była to jedna z najstraszliwszych chwil w życiu tej kobiety. Po chwili nieco doszła do siebie. Powoli ocierała zimny pot spływający po jej twarzy.

Concini, ciężko dysząc, nawet jednym litościwym spojrzeniem nie zaszczycił bolejącej żony.

– Co jeszcze mówił Lorenzo!? – warknął. – Mów! Czy chciałabyś, bym skonał na twoich oczach?!

– Powiedział – odparła Leonora posępnym głosem – powiedział to jeszcze: Tylko król może bez niebezpieczeństwa pozbawić życia te dwie istoty!

– Król! – szepnął Concini.

Leonora Galigai wstała. Spłynął na nią jakiś rodzaj dziwnego, proroczego spokoju. Jej postawa wyrażała jakby zadowolenie ze spełnionej do końca ofiary. Jej czarne oczy promieniały słodczą bezgraniczną miłością, miłością czystą, która z kobiety może stworzyć anioła – lub szatana.

– Concino – powiedziała – teraz mnie poznałeś! Teraz wiesz, jaką wartość posiada Leonora Galigai! Teraz wiesz, dlaczego odebrałam ci Gisellę i Capestanga. Jedynie król może bez narażenia się na śmiertelne niebezpieczeństwo stykać się z tymi ludźmi. Otóż nie chcę,

byś umierał, mój Concino, a umarłbyś, gdybyś podniósł rękę na Capestanga, podobnie jak umarłbyś, gdyby na zawsze odebrano ci Gisellę! Dlatego musisz zostać królem...!

Na chwilę zamilkła i pograżyła się w myślach, podczas gdy Concini patrzył na nią z rodzajem przesadnego podziwu, jak gdyby widział jakąś wróżkę ogłaszającą mu wyroki Opatrzności.

– Odejdź teraz, mój Concino – rzekła – i pozwól mi pracować w spokoju nad twoją królewską, to znaczy nad zaspokojeniem twego pożądanego i nienawiści. Odejdź i zostaw mnie, gdyż jestem u kresu sił.

Marszałek, olśniony, porażony, błądzący radością, przerażeniem, nadzieją, podniósł się i pozwoli zbliżyć się do niej, szukając jakiegoś słowa czy gestu wdzięczności.

Jednak ona powstrzymała go i tylko powtórzyła:

– Odejdź!

Wyszedł posłuszny, pochylony, jakby słuchał głosu mocarnej czarodziejki.

Kiedy opuścił komnatę, Leonora Galigai padła zemdlna na fotel.

Concini, wróciwszy do swego wielkiego i wystawnie urządzonego gabinetu przyjąć, do którego mieliśmy już okazję wprowadzić Czytelnika, przywołał służącego i polecił zapalić wszystkie światła. Był teraz jakby innym człowiekiem; szalona radość powodowała drżenie całego ciała.

– Odżywam, budzę się, jakbym zmartwychwstał z grobu! – mówił z uniesieniem. – Na rany Chrystusa! Znam w tej chwili znaczenia tego słowa: szczęście...! Znowu ją zobaczę! Za trzy dni...! A choćbym jej nie miał widzieć, wiem, że żyje, to najważniejsze. Leonora nie kłamie. Leonora mi ją odda, kiedy... kiedy będę mógł bezpiecznie jej dotknąć! „Tylko król” – powiedział Lorenzo... Zgoda, zostanę królem. Czy faktycznie już nim nie jestem...? Leonora tego chce, więc będę nosił ten tytuł, a razem z tytułem zdobędę miłość...! Co do nędznego fanfaron, jakże straszną zgotuję mu zemstę, jakie tortury, kiedy będę mógł to uczynić bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Leonoro, kochana Leonoro, zachowam wdzięczność godną twoich zasług! Co mogę zrobić dla ciebie, gdy papież unieważni nasze małżeństwo...? Najpierw dam ci tyle złota, ile będziesz chciała. Jesteś chciwa, Leonoro, znam cię... Następnie wydam cię za Rinalda i kupię wam jakieś księstwo we Włoszech, lub raczej zrobię cię pierwszą damą dworu Giselli, gdy ona zostanie królową Francji!

Był szczery, nie dopatrywał się ani nikczemności, ani hańby w tym wynagrodzeniu, jakim zamierzał się zrewanżować za to dzikie, tragiczne, nadludzkie poświęcenie tej, która nosiła jego nazwisko.

Postanowił iść ze ślepą uległością za wolą żony i pozwolić się jej prowadzić. Na początku tej opowieści stwierdziliśmy, że była w nim dusza Cezara Borgii. Rzeczywiście, podobnie jak syn Aleksandra Borgii, który zawdzięczał fortunę swojej siostrze Lukrecji, być może będącej jego kochanką, tak Concino Concini swoją zawdzięczał jedynie Leonorze Galigai. Podobnie jak Cesar Borgia, Concini należał do rodzaju awanturników, umiejących zręcznie korzystać ze zdarzeń, lecz niezdolnych do ich wywoływania. U obu odnajduje się to samo zimne okrucieństwo, to samo zuchwalstwo w razie triumfu, a bezradność przy przeciwnościach losu. Osobnicy tego gatunku są wytworem właściwej im epoki. To są błyskawice rozświetlające burzowe niebo, ale czym jest błyskawica? Ona uderza, razi, ale jest tylko emanacją sił zgromadzonych w chmurach pokrywających niebo.

W gruncie rzeczy Concini miał duszę kobiety histeryczki; miał jej upodobania, słabości, nagłe wybuchy energii; nie potrafił kierować wypadkami, umiał tylko się do nich przystoso-

wywać. W innych czasach byłby z niego drugi Rubempré³⁶ lub może Lacenaire³⁷. W obecnej epoce widzielibyśmy go jako bladego eleganta, za dnia paradyującego po bulwarach, a nocą szukającego życia w alkowach kobiet, narzucającego się w paryskim stylu i noszącego w krawacie brylant, skradziony ze stanika jakiejś księżniczki z półświatka.

Poleciwszy zapalić wszystkie świeczniki, jak to już powiedzieliśmy, Concini rozkazał służącemu:

– Przyślij mi Mauligny'ego.

Kamerdyner wybiegł spiesznie, a kilka minut później do gabinetu wszedł wezwany mężczyzna, którego marszałek zmierzył wzrokiem od stóp do głowy. Mauligny zdrzął.

– Panie de Mauligny – powiedział Concini wściekłym głosem – jesteś czy nie szefem mojej policji? Masz czy nie masz pod swymi rozkazami stu dwudziestu tajnych szpiegów i milicję, jakiej sam król nie posiada? Czy dlatego płacę ci pensję wyższą od pensji radcy stanu? A czego ja się dowiaduję? Oto, że jakiś portret został powieszony na szubienicy... na Croix-Rouge?

– Ekscelencjo! – bełkotał szef policji, mocno strwożony.

– Milczeć! I że to ja jestem na tym portrecie...! Odejdź i przyjdź jutro donieść, że portret został ściągnięty i że na jego miejscu kołysze się ciało nędznika, który go tam powiesił. Idź i wróć zawiadomić mnie o tym najpóźniej jutro rano, inaczej, na Boga, ty sam zostaniesz powieszony!

Mauligny wyszedł, chwiejąc się na nogach.

– Niech przyjdzie Rinaldo! – zawołał Concini.

Po chwili wszedł Rinaldo, witając swego pana z tą poufałością pomieszaną z szyderczym szacunkiem, co było u niego charakterystyczne.

– Co robisz, Rinaldo? – warknął marszałek. – Czym są zajęci Pontraille, Chalabre, Montreal, Louvignac, Bazorges, ci znakomici dziesiętnicy³⁸? Co robią inni? Bez wątpienia piłują sobie paznokcie, przeglądają się w lusterkach i jeden drugiemu podkradają koronki do kaftanów i wstążeczki przy zakończeniach sznurowadeł czy krótkich spodniach, a w tym samym czasie znieważają moją osobę na mieście! Na samym środku placu Royal szlachetki deklarują, że chcą mnie wychłostać! *Corpo di Dio!* Czy sam będę musiał wyzywać na pojedynek ludzi, którzy mnie publicznie obrażają?

Na ustach Rinalda zaigrał słodko-gorzki uśmiech.

– Nie czyni tego, Ekscelencjo – odparł – gdyż musiałbyś się bić z całym dworem, a do prawdy byłoby to zbyt wiele dla jednego człowieka, chociaż nie wiem, jak byłby dzielny.

– Zatem powiedz lepiej – ryknął Concini – że mam pozwolić z siebie szydzić, dać sobie płuć w twarz i dać się okładać pięściami...!

³⁶ Lucjan Chardon de *Rubempré* – bohater powieści Honoriusza Balzaka *Stracone złudzenia*, młody poeta z prowincji, który próbuje swojego szczęścia w Paryżu jako dziennikarz i stopniowo traci swoje pierwsze złudzenia na skutek zetknięcia z bezwzględnyim środowiskiem stolicy.

³⁷ Pierre François *Lacenaire* (1803-1836) – francuski oszust i przestępca, który znalazł się na pierwszych stronach, opisywany jako poeta morderca po opublikowaniu jego pamiętników, sztuk i wierszy napisanych w więzieniu; został zgilotynowany za podwójne morderstwo.

³⁸ Siępacze, *Przyboczni* Conciniego, w liczbie pięćdziesięciu, byli podzieleni na sekcje, każda po dziesięciu ludzi, którymi dowodził jeden z tych, którzy tu zostali wymienieni. Wszystkim rozkazywał Rinaldo. To, że każdy z *Przybocznych* otrzymywał tysiąc liwrów pensji, sprawiło, że Aubigné nazwał ich tak, że nie śmielibyśmy tego powtórzyć, ponieważ stara ortografia uczyniła niemalże słowo łacińskie, to znaczy zdolne stawić czoło przyzwoitości. Nazwał ich Nikczemnikami za tysiąc liwrów [przypis M. Zévaco].

– Nie, *per Bacco*! Cały czas działamy, Ekscelencjo. Jeśli chodzi o mnie, to w ciągu tygodnia zabiłem trzech, Chalabre jednego, Louvignac dwóch. Wszyscy inni mają już umówione spotkania. Plac Royal! Ech, Ekscelencjo, na nim tylko nas widać. Za wstążeczkę, która nam się nie podoba, za rzucone znaczące spojrzenie, za wszystko i za nic wyciągamy zaraz szpady. Ale, do diabła, w ciągu jednego dnia nie możemy położyć trupem wszystkich paryżan! Jeśli od czasu twojej choroby, Ekscelencjo, co prawda rozwiązały się języki, ale na wszystkie flaki Ojca Świętego, my wyciągamy ramiona! Z tego powodu wymyślono dla nas nową nazwę...

– Cóż to za nazwa, mój dzielny Rinaldo? – zapytał uspokojony Concini.

– Ech, nazywają nas Oczyszczaczami Honoru. Faktem jest, że nasz honor stał się wyrażony i łaskotliwy jak diabli... codziennie musi mieć trupa, inaczej się pogniewa.

– Dobrze, Rinaldo, dobrze, mój przyjacielu. Idź jutro do skarbnika królewskiego z rewersem na dwieście pistoli, który każę wystawić na ciebie, i rozdaj je naszym zuchom. Idź, Rinaldo, idź, nie jestem już chory, a jutro zamierzam udać się na plac Royal, by zobaczyć, jak się rzeczy mają.

– Ho! Ho! – mruczał Rinaldo, wycofując się. – Będzie robota dla Oczyszczaczy Honoru! Cholera! Jeśli Jego Wysokość ukaże się tam i jeżeli jego honor będzie tak wysubtelniony jak nasz, już żałuję dobrego miasta Paryża...! Dwieście pistoli? Hm! Wydaje mi się, że to jest wyrażone skąpstwo!

– Przywołaj do mnie pana Gendron – rozkazał Concino kamerdynerowi.

Gendron był generalnym intendentem pałacu d'Ancre. Po chwili wszedł całkowicie siwy mężczyzna, w czarnym stroju, o żywym, bardzo inteligentnym wejrzeniu, kochający imponującą wystawioną, okazałe przyjęcia.

– Panie Gendron – zwrócił się do niego Concini – chcę urządzić przyjęcie.

Intendent zgiął się wpół, jak gdyby jemu osobiście uczyniono wielką łaskę.

– Pragnę, by było ono piękne, rozumiesz, panie Gendron? Chcę, aby cały Paryż pękał z zazdrości, słyszysz? Pragnę, by każdy wyszedł ode mnie upity, olśniony, unosząc ze sobą wspomnienie czarownego przepychu, rozumiesz pan?

Gendronowi zaświeciły się oczy. Wyprostował się i odparł:

– Ekscelencjo, będzie tak. Mogę zaręczyć, że Paryż nie będzie spał dwa tygodnie.

– Dobrze. Przez noc proszę sporządzić szczegółowy plan uroczystości i pokazać mi jutro rano. Powiedz mi, ile pieniędzy potrzebujesz na to czarowne widowisko?

– Ostatni raz, Ekscelencjo, wydaliśmy sześćdziesiąt tysięcy liwrow. Sądzę, że teraz będzie to około sto tysięcy...

– Zgoda, a ile czasu zajmą wszystkie przygotowania?

– Co najmniej cały miesiąc, Ekscelencjo.

– Żądam, by zabawa odbyła się za trzy dni – polecił Concini, zaś Gendron, przyzwyczajony do wypełniania poleceń, ani się nie skrzywił. – Tak ma być: za trzy dni. Ponieważ będziesz zmuszony wydać pieniądze, które do tej pory otrzymałeś, podnoszę sumę wyznaczonego kredytu do stu pięćdziesięciu tysięcy liwrow. Żegnam.

Intendent wyszedł, układając w rozgorączkowanej wyobraźni przyszłe cudenka.

– Kamerdyner! – rozkazał Concini.

Po chwili wszedł znany już Czytelnikowi Fiorello.

– Chodź mnie ubrać – powiedział marszałek, zmierzając do sypialni.

– W jaki strój? – zapytał Fiorello tonem generała zwracającego się przed bitwą do szefa sztabu słowami: „Jaki korpus armii wyślemy przodem?”

– Ten, który ty wybierzesz – odparł Concini. – Bylebyś, do licha, uczynił mnie pięknym i eleganckim.

– Ho! Ho! Ekscelencjo, czy mamy zdobywać jakąś piękną i potężną księżną?

– Nie – odparł Concini – idę składać hołdy królowej matce.

Pół godziny później marszałek d'Ancre wsiadł do jednej z tych wspaniałych, nowomodnych karet, które w porównaniu z ciężkimi pojazdami z czasów Henryka IV były tym, czym kocz³⁹ w porównaniu ze zwykłą bryką. Tę karetę podarował mu François Micaire, jej wynalazca, jako rekompensatę za otrzymanie przywileju ich wytwarzania⁴⁰.

– Do Luwru! – rzucił woźnicy, a w myślach dodał: „Teraz muszę dysponować moimi wszystkimi bateriami...!”



³⁹ *Kocz* – powóz czterokołowy z nadwoziem zawieszonym na łańcuchach lub pasach, zaprzęgany w dwa albo cztery konie.

⁴⁰ Taki przywilej w 1614 roku otrzymali rymarz François Miracle i stolarz Jean de Saint Blunon.

Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!